BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU

Cena 25 zł

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI | Łódź, 10 kwietnia 1949 r. | Nr 15 (194)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

IV 9037

W NUMERZE
między innymi:

H. Syska — Naród czy Rzym?
V. Leduc — Amerykański „Mein Kampf"
P. Robenson — Ameryka to także ja
J. Pogan — Inteligencja na wsi
A. Wasilewski — O Kazimierzu Brandysie
J. Miller — Wiersze
P. Czyżowa — Wł. Strzemiński — Wystawa amatorów
J. Choczyński — Na drogach teatru
M. Niewiarowski — U robotników
E. Marzec — Węzeł (proza)
W. Wirpsza, J. Cios — Dyskusja o poezji
T. Hilarowicz, M. Bodalski, T. Papier — Uwagi

Stefan Ignar

STAWIAMY JUŻ NA GROMADĘ

(Związek Samopomocy Chłopskiej na nowym etapie *))

I.

Do roku ubiegłego węzłowym ogniwem organizacyjnym Związku Samopomocy Chłopskiej był oddział **gminny**, który nawet początkowo nosił autonomiczną nazwę Gminnego Związku Samopomocy Chłopskiej. Było to trafne podejście organizacyjne do naszych ówczesnych zadań, a to z dwóch względów:

1) Za słabe mieliśmy jeszcze nasze kadry przewodnicze w gromadzie (ale z tych względów opinia społeczna na tym szczeblu kształtowana była przez bogaczy wiejskich).

2) Główne nasze zadania tkwiły wtedy w gminie, a mianowicie budowa samorządu i udział w radach narodowych oraz — co najważniejsze — organizowanie **gminnych** spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Gromady pojedyncze, jak wiemy, były do ostatnich lat bardzo luźno powiązane z życiem ogólnopaństwowym. Ludność poszczególnych wsi tworzyła grupę lokalno-sąsiedzką, powiązaną stosunkami **klienteli** pomiędzy biednymi a bogatymi.

Bogacze, wykształceni w szkołach rolniczych, wyrobieni organizacyjnie, prenumerujący gazety, a równocześnie trzymający w swych kleszczach gromadę, sabotowali skutecznie działalność ZSCh. Dziś, po 4 latach warunki się zmieniły. Mamy już pewną ilość przodowników chłopskich na gromadach spośród małorolnych i średniorolnych, spośród młodzieży chłopskiej, wychowanej w Kołach Młodzieży Wiejskiej. Przybywa nam od ubiegłego roku aktyw „Służby Polsce".

Partie polityczne wydobyły z dołów biedoty wiejskiej zdolnych aktywistów; coraz więcej nauczycieli współdziała ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej. Średniorolny chłop coraz lepiej rozumie swój interes we współpracy z biedotą wiejską i klasą robotniczą. W tych warunkach decydujemy się przesunąć punkt ciężkości naszej pracy na **Koło Gromadzkie** Związku Samopomocy Chłopskiej. Stawiając na gromadę, jako na fundament naszej roboty, wciągamy w ten sposób najszersze masy chłopskie do współrządzenia państwem ludowym, do budowania zrębów — ustroju sprawiedliwości społecznej.

Wiemy jednak o tym, że rządzenie państwem ludowym nie polega na policyjnym nadzorze nad pomyślnym rozwojem indywidualnego dorobkiewiczostwa. Uznając Koło Gromadzkie ZSCh. za **podstawowe ogniwo organizacji wsi,** prowadzimy do tego, aby każda gromada, każda wieś znała plan państwowy w zakresie produkcji zbóż, okopowych i oleistych, aby znała plan państwowy w zakresie hodowli bydła i trzody, aby znała również plan państwowy w zakresie oświaty i kultury. Znając plan ogólnonarodowy, każda gromada winna opracować własny plan do wykonania — dla siebie. Na podstawie takiego miejscowego planu gromadzkiego wiadomo będzie dla każdego, że trzeba w ciągu najbliższego roku wyżwirować drogę, wykopać rowy, naprawić mosty, odwodnić bagniste łąki, porobić przegony, zaopatrzyć się na czas lub zamówić w ośrodku maszynowym tryjery, siewniki i młocarnie, zorganizować pomoc sąsiedzką w obróbce roli, w siewach i omłotach. Według takiego planu zarząd gromadzki ZSCh. pokieruje kontraktacją hodowlaną i roślinną, potworzy zespoły produkcyjne, zgłosi zapotrzebowanie na nawozy i pasze, upomni się o zaopatrzenie w narzędzia, żelazo, materiały włókiennicze i skórę. Dopilnuje prawidłowej ceny na zbywane produkty, stworzy miejscowy komitet sklepowy dla kontroli sprawiedliwego rozdziału towarów. Poczynając od obecnego Kongresu, każdy członek Koła Gromadzkiego ZSCh. będzie członkiem Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Koło Gromadzkie ZSCh. nie ograniczy swej działalności do dziedziny życia materialnego. Stworzy ono i będzie kierowało miejscowym szkolnym komitetem rodzicielskim, czuwającym nad postępowym wychowaniem dzieci i zaopatrzeniem szkoły w pomoce naukowe.

Do Koła Gromadzkiego będzie należało zakładanie i prowadzenie dziedzińców oraz współdziałanie w upowszechnieniu przedszkoli.

Najważniejszym zadaniem Koła Gromadzkiego w dziedzinie oświaty i kultury jest przejęcie pod swe kierownictwo istniejącej świetlicy i odpowiednie urządzenie jej: zaopatrzenie świetlicy w stoły, krzesła, szafy, obrazy i wywieszki, zaopatrzenie jej przede wszystkim w gazety i książki i, o ile się da, w radioodbiornik. Tam, gdzie nie ma dotąd świetlicy, a takich wsi jest w Polsce większość, Koło Gromadzkie znajdzie lub wybuduje odpowiedni lokal i otworzy świetlicę, która zarazem będzie lokalem organizacyjnym ZSCh. jak i Koła Młodzieży. Koło ZMP będzie współgospodarzem Świelicy ZSCh.

Świelice kierowane przez ZSCh. mają być dostępne dla wszystkich mieszkańców danych wsi i dla wszystkich miejscowych demokratycznych organizacji.

Nie wspomniałem dotąd o kobietach, ale już z wyliczonych zadań jasno wynika, że bez żywego i licznego udziału kobiet w tych pracach nie ma co liczyć na poważniejsze wyniki. Udział kobiet w życiu społecznym i gospodarczym kraju jest miarą jego postępowości. Tam, gdzie kobiety są upośledzone i odsunięte do kuchni i obory, nie ma prawdziwego postępu, nie ma wielkich osiągnięć. Najlepszym dowodem tego, co może wnieść kobieta do życia politycznego i do postępu gospodarczego, jest Związek Radziecki. Wyzwolenie kobiety pracującej jest miarą wyzwolenia mas ludowych. Aby to wyzwolenie mogło nastąpić, sprawami obchodzącymi kobiety muszą zainteresować się i mężczyźni, a znów kobiety winny dźwigać wspólnie z mężczyznami ciężar zadań społecznych w drodze do podniesienia dobrobytu i kultury wsi.

Dlatego proponujemy, na dzisiejszym zjeździe znieść sztuczny rozdział pomiędzy Kołem Gromadzkim ZSCh. a Kołem Gospodyń. Specjalizacja prac kobiecych winna mieścić się w ramach Koła Gromadzkiego. Nieodpowiednia, przestarzała forma i nazwa komórki prac kobiecych w ZSCh. winna ustąpić miejsca właściwej organizacji **wspólnej z mężczyznami.** Chodzi nam przecież nie tylko o gospodynię, którą interesuje głównie wypiek chleba, robienie konfitur i ogródek warzywny. Chodzi nam o kobietę wiejską, o chłopkę i o jej pełny wkład w rozwój lepszego życia na wsi i w Polsce. W Związku Radzieckim kobieta - inżynier kierowała odbudową największej tamy i elektrowni — Dnieprogesu. W Związku Radzieckim kobiety - rolniczki są przodownicami pracy, odznaczonymi dyplomami bohaterek budownictwa socjalistycznego.

Wyniki ostatnich wyborów do zarządów gromadzkich i gminnych zrobiły wyrwę w odosobnieniu i zacieśnieniu społecznym wiejskich kobiet. Będziemy po tej drodze szli konsekwentnie naprzód. Mamy już w zarządach 13 proc. kobiet, a musimy przy następnych wyborach tę liczbę co najmniej podwoić.

Uznanie Koła Gromadzkiego za podstawowe ogniwo naszego Związku wcale nie oznacza, abyśmy zaniedbali pracę na szczeblu gminnym. Wprost przeciwnie, nasza praca w zarządzie gminnym musi się wzmóc.

Wobec stojącego przed naszym Związkiem zadania kontroli spółdzielczości rolniczej i realizacji planów gospodarczych w gromadach, nasz zarząd gminny musi być organem zdolnym do pokierowania tymi sprawami, zwłaszcza, że coraz bardziej będzie się rozwijać współzawodnictwo między gromadami, które wymaga stałego kierownictwa gminnego. Ponadto kierowanie w obrębie gminy upowszechnieniem pracy kulturalno - oświatowej a zwłaszcza świetlic, wymaga sprężystego zarządu. Sekretarz gminnego Zarządu ZSCh. winien być, rzecz jasna, wybierany przez walny zjazd gminny, tak jak to miało miejsce dotychczas. Postawienie na tym stanowisku urzędnika zawodowego mijałoby się z celem społecznym.

II.

Na ogólną powierzchnię gruntów w Polsce, która wynosi prawie 31 milionów ha, posiadamy niecałe 21 milionów ziemi użytkowanej rolniczo, a w tym 16,5 miliona ha gruntów ornych. W tej dziedzinie stoi przed nami poważne zadanie, którego wykonanie zwiększy obszar użytków o 20 proc. W końcu 1948 r. zostało nam jeszcze 1.480.000 ha odłogów, które winniśmy jak najśpieszniej zaorać i zająć pod uprawę. Ponadto posiadamy obszary zawodnione i zakwaszone. Są to grunta, które bym nazwał ukrytymi odłogami. Przez intensywne prace melioracyjne możemy w niedługim stosunkowo czasie przy pięcioletniej amortyzacji nakładów uzyskać około 2 milionów ha gruntów, na których dziś nie wiele zbieramy. Nawet mądrze i składnie zorganizowaną współpracą w pojedynczych gromadach można gospodarskim sposobem zdobyć znaczne pasy nieużytecznych, zawodnionych obecnie łąk i pastwisk. Troska o użytki zielone, o łąki i pastwiska, jest podstawą rozwoju hodowli. Ministerstwo Rolnictwa nie rozporządza dostatecznymi środkami, aby w ciągu krótkiego czasu przeprowadzić zasadnicze melioracje na które potrzeba 50 miliardów zł, gdyby przyszło wszystkie prace opłacać. Natomiast rząd jest zdolny do pomocy w opracowaniu planów melioracyjnych i do opłacenia nadzoru technicznego, może także poprzeć skierowanie szeregów „Służby Polsce" do prac melioracyjnych.

Z tych uwag wynika, że gromadzkie Koła ZSCh. mają tu wielkie pole do działania i mogą się przy poparciu Min. Rolnictwa przyczynić do likwidacji ukrytych ugorów.

Z kolei trzeba podkreślić, że nasz kierunek produkcji jest nadal jednostronny i niewłaściwy. Trzymamy się dotąd starych tradycji prymitywnego rolnictwa, uprawiając głównie żyto i kartofle. Podczas gdy żytem obsiewamy przeszło 5 milionów ha, a kartoflami prawie 2,5 miliona ha, to oleiste rośliny są uprawiane zaledwie na niecałych 100 tysiącach ha. Niedostatecznie jest u nas doceniane warzywnictwo. I tak np. wobec przeszło 25

*) Fragmenty z referatu na III Kongresie ZSCh 3, 4, 5 marca 1949 r.

milionów ton ziemniaków zebraliśmy w ubiegłym roku zaledwie 2,25 miliona ton warzyw. Najgorzej przedstawia się sprawa z owocami, których zdołaliśmy zebrać w roku ubiegłym zaledwie 1/5 miliona ton (203.000).

Ze zbiorów zeszłorocznych przypadło na głowę ludności w Polsce:

pszenicy	—	69 kg
żyta	—	260 „
ziemniaków	—	1000 „
warzyw	—	93 „
owoców	—	8 „

Liczba ta zmniejszy się około 10 proc. poza warzywami i owocami po odliczeniu nasion, koniecznych do następnych zasiewów.

Czy z tej tabeli wynika, że mamy za dużo pszenicy, żyta lub ziemniaków? Nie! wszystkich tych środków żywności i paszy mamy za mało i musimy zwiększyć ilość zbiorów głównych zbóż i okopowych. Ale czy będziemy te plony zwiększać przez dalsze ograniczenie zasiewów rzepaku, którego mamy tak mało? Takie wnioski z przedstawionych obliczeń byłyby błędne, a nawet głupie. Popatrzmy, którędy prowadzi droga do zwiększenia planów głównych zbóż i okopowych.

Oto w roku 1948 zebraliśmy przeciętnie z 1 ha:

pszenicy	—	11,8 q
żyta	—	12,5 q
ziemniaków	—	104,0 q
buraków cukr.	—	183,0 q

Przy czym jedynie plonem żyta przewyższyliśmy poziom przedwojenny, który wynosił 11,7 q/ha, natomiast plony pozostałych roślin nie osiągnęły jeszcze poziomu przedwojennego. Tutaj widzimy teren walki o wzrost produkcji rolniczej. Nasze dotychczasowe wyniki są zbyt niskie. W ciągu najbliższych 6 lat według opracowanego planu mamy zwiększyć produkcję rolniczą o 35 — 40 proc. Czy to jest możliwe? Nie tylko jest możliwe, ale wprost konieczne. W przodujących krajach rolniczych chłopi osiągają o wiele wyższe plony na nie lepszych ziemiach niż u nas i tak np. Czechosłowacja już przed wojną sprzątała 160 q/ha ziemniaków, a buraków cukrowych 331 q/ha.

Wzrost produkcji rolniczej przy stosowaniu naukowych wiadomości, nawozów i maszyn oraz odpowiedniej organizacji pracy — musi nadążyć za rozwojem przemysłu. W ciągu najbliższych 6 lat ilość robotników wzrośnie w przemyśle o około 1 milion osób w miarę wykonywania planu uprzemysłowienia kraju przez zbudowanie wielkich **320** nowych fabryk i zakładów. Zwiększy się zapotrzebowanie wsi w towary przemysłowe, ale równocześnie musi się o 40 proc. zwiększyć masa produkcji rolniczej.

III.

Jeszcze cięższa bitwa stoi przed chłopami o produkcję zwierzęcą.

Na koniec 1948 r. było według wyliczeń wykonania planu trzyletniego:
5.747.800 sztuk bydła, w tym 3.647.000 krów.

Jest to bardzo dużo wobec 3.322.800 sztuk bydła, jakie mieliśmy w 1945 r. po spustoszeniu hitlerowskim, jest to dużo w porównaniu z 1946 r., kiedy mieliśmy samych krów zaledwie 2.748.100 sztuk, a więc prawie o milion mniej niż obecnie.

Ale czy możemy się zgodzić na to, ażeby u każdych czterech krowich cyców wisiało aż 7 obywateli Polski Ludowej? Zresztą byłoby z tym pół biedy, gdyby nasze krowy dawały po 20 litrów mleka dziennie, a dają przeciętnie zaledwie po kilka litrów, i to mleka dość chudego. A więc troskliwe rozmnażanie naszego bydła, właściwe karmienie i opieka weterynaryjna — oto wielkie zadania dla Kół Gromadzkich i całego Związku, jak również dla Ministerstwa Rolnictwa i dla spółdzielczości mleczarskiej, która dotąd zbyt małą troską darzyła małorolnych i średniorolnych chłopów, nie stwarzając warunków dochodowości dla hodowli krów.

Z jeszcze gorszą hipoteką okupacyjną wyszliśmy w zakresie trzody chlewnej.

W roku 1945 mieliśmy zaledwie 1.697.400 świń, w roku 1946 zwiększyliśmy stan pogłowia do 2.674.100 świń, a pod koniec 1948 r. osiągnęliśmy już 5.100.000 świń.

Wiemy jednak, że mimo tak szybkiego rozwoju brakuje nam wśród trzody chlewnej około 3 milionów sztuk, aby zaspokoić zwiększony wzrost i zapotrzebowanie na spożycie miesa i tłuszczu.

W roku bieżącym rozpoczęliśmy planową bitwę na tym froncie przez tzw. akcję „H", do której hasło dał nasz rząd, asygnując 13 miliardów zł na materiał wyjściowy, czyli prosięta, na pasze i premie hodowlane. Kontraktacja przewiduje 1.000.000 sztuk zamówionych u hodowców w roku 1949. Osiągnięcia w ciągu kilku zaledwie tygodni mamy bardzo duże. Na dzień 30 marca zostało zakontraktowanych już 460.000 sztuk, czyli roczny plan został wykonany w 46 proc.

Akcja „H" rozwinie się jeszcze lepiej, jeśli usuniemy szereg błędów.

Jednym z takich błędów jest zbyt jednostronne podejście do tej sprawy mianowicie przeważające zainteresowanie od strony handlowej. Agenci Centrali Mięsnej zwracają uwagę na stronę obrotową, co jest naturalne i zgodne z ich fachem, lecz gdyby gminne spółdzielnie współpracowały bliżej nie tylko z Centralą Mięsną, lecz i ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej, wtedy uniknęłoby się jednostronności. Akcja „H" bowiem to wstęp do długofalowej polityki hodowlanej, która winna doprowadzić do podwojenia pogłowia trzody chlewnej. Ażeby ten cel osiągnąć, należy szczególnie **troskliwie wysłuchiwać głosów małorolnych i średniorolnych chłopów** i uczyć się na popełnionych błędach, usuwając je jak najszybciej z akcji „H".

Należy jak najszybciej porzucić papierowe normy, które zniechęcają chłopów do kontraktacji. Tak np. w powiecie łęczyckim wyznaczona została premiowa waga żywca na 165 kg, zakładając, że chłopi będą hodować świnie rasy angielskiej wielkiej. Ale rasy takiej nie ma w pow. łęczyckim. Są tam zwykłe polskie świnie, których maksymalna ekonomiczna waga wynosi 135 kg. Należy więc i w łęczyckim i w innych powiatach zarzucić papierowe, urojone rasy, a kontraktować świnie takie, jakie są w terenie.

IV.

Związek Samopomocy Chłopskiej jako pionierska organizacja w Polsce Ludowej, nie może oczywiście poprzestać na ulepszaniu życia i organizowaniu pracy wyłącznie w dotychczasowych ramach ustrojowych. Do takiego wąskiego odcinka zacieśniały się usługowe organizacje okresu kapitalistycznego, jak kółka rolnicze i izby rolnicze wraz ze spółdzielniami rolniczo - handlowymi. Służyły one wiernie rządom sanacyjnym, obszarnikom i kapitalistom, usypiając swą propagandą rewolucyjną czujność wyniszczonych nędzą mas chłopskich. My dziś dobrze wiemy, że życie w miejscu stać nie może, że jest ono podobne do rzeki, która gdy ją się zatamuje, wzbiera i burzy tamy. Dopóki woda nie przeniesie tamy, rozlewa się po wybrzeżach i tworzy stojące, zgniłe zalewisko. Tak działo się u nas za czasów panowania zwyrodniałego kapitalizmu, tak dzieje się jeszcze do dziś w wielu krajach, gdzie klasa panujących wyzyskiwaczy stara się zatamować żywy strumień rozwoju. W Polsce już dziś każdemu wiadomo, że będziemy stopniowo przebudowywać ustrój rolny, że wyszliśmy z bardzo skromnym na początku planem spółdzielczości produkcyjnej. W roku bieżącym mamy zamiar stworzyć kilkaset spółdzielni produkcyjnych, co wyniesie zaledwie 1 proc. gromad. Na przeszło 40.000 gromad powstanie około 400 spółdzielni produkcyjnych, przeciętnie na 7 do 8 gmin jedna spółdzielnia. W organizowaniu spółdzielni biorą udział partie polityczne, Centrala Rolnicza Spółdzielni Gminnych „Samopomoc Chłopska" i Związek Samopomocy Chłopskiej. Rząd nie kieruje tą akcją. Rząd tylko patrzy przychylnie i gotów jest do poparcia tej sprawy. Reakcjoniści triumfują i krzyczą: aha, widzicie — odbiorą wam wszyskim ziemię! Naiwni i nieświadomi często dają temu wiarę, choć już coraz mniej jest naiwnych.

Statuty wzorcowe, wydane przez Centralę Rolniczą Spółdzielni Gminnych „Samopomoc Chłopska", ukazują dowodnie, że zakładanie spółdzielni produkcyjnych — to sprawa chłopska. Chłopi decydują, chłopi ryzykują. Nikt im tego nie narzuca, nikt ich do spółdzielni nie napędza i napędzać nie będzie. Faktem jest, że kilkaset wsi już zgłosiło chęć założenia spółdzielni produkcyjnych, choć nie ma w Polsce tak nierozumnego, choćby najbardziej zajadłego reakcjonisty, aby mógł zarzucić, że którąkolwiek z tych wsi ktokolwiek przymuszał. Jeśli tak jest — a tak jest niewątpliwie, to trzeba stwierdzić, że w Polsce istniał dotąd z czasów kapitalistycznych raczej **odwrotny przymus**, mianowicie **przymus indywidualnego gospodarowania.** Toć jeszcze przed 1927 r. zgłosiło się do Niezależnej Partii Chłopskiej kilkadziesiąt wsi z uchwałami, podpisanymi przez ogół chłopów tych wsi, że pragną założyć spółdzielnie produkcyjne. Ponieważ wtedy istniał surowy, kapitalistyczny przymus indywidualnego gospodarowania na drobnej parceli, więc nie tylko nie doszło do zawiązania zgłoszonych spółdzielni, lecz wręcz przeciwnie doszło do rozwiązania Niezależnej Partii Chłopskiej, która takie zgłoszenia otrzymała A przecież i w Polsce Ludowej w pierwszych latach rząd robotniczo - chłopski zezwolił jedynie na założenie czasowych spółdzielni parcelacyjno-osadniczych, natomiast nie dopuszczał do tworzenia spółdzielni produkcyjnych, ulegając wpływom zbyt wrażliwych na opinię, urobioną przez kapitalizm, czynników politycznych. Idee i plany spółdzielczości produkcyjnej rodziły się w środowisku chłopskim nie tylko w głowach komunistów, ale także ludowców i „wiciarzy". Były na ten temat artykuły w prasie ludowej, ideę taką propagowało „Chłopskie Życie Gospodarcze" w latach 1935—37. Oddźwięk tych idei znalazł się w deklaracji Zw. Mł. W.R.P. „Wici", uchwalonej na Walnym Zjeździe Krajowym w 1935 r. A przeczytajcie uważnie piękną i smutną książkę obecnego marszałka sejmu Władysława Kowalskiego pt. „Dalekie i bliskie", napisaną w 1931 r. Jakież można z niej wnioski wysunąć, jak nie radykalną reformę rolną i w oparciu o nią spółdzielczość produkcyjną?

Toteż obecnie sprawa stoi w ten sposób, że chłopi mogą tworzyć spółdzielnie produkcyjne. Pomagać im będą ich własne organizacje polityczne, zawodowe i spółdzielcze, a rząd będzie takie spółdzielnie popierał. Kto zaś będzie straszył chłopów i zmuszał do spółdzielczości produkcyjnej, ten będzie karany, choćby to był komendant milicji, czy gminny sekretarz PZPR. Będzie także surowo karany ten, kto będzie straszył chłopów prześladowaniem w wypadku, gdy postanowią założyć spółdzielnię, niezależnie od tego, czy to będzie zacofany proboszcz, czy bogacz wiejski. Sprawa stoi jasno: nie ma przymusu zakładania spółdzielni produkcyjnych, lecz i nie ma przymusu indywidualnego gospodarowania.

Ci, co dzisiaj nie wierzą w zalety spółdzielni produkcyjnej, niech gospodarzą oddzielnie. Będą mieli czas przyjrzeć się, jak to pójdzie innym i wtedy ocenią przydatność nowej formy ustroju rolnego. Nie może oczywiście dziwić nikogo, że nowe sółdzielnie muszą mieć odpowiednie wzory statutu i że muszą uzyskać zatwierdzenie przez Centralę Rolniczą. W przeciwnym razie stworzyłby się **chaos i marnostrawstwo** w wypróbowaniu dowolnie pomyślanych fantazji.

Należy tylko stwierdzić, że rząd nasz i ZSCh. będzie się nadal troskliwie opiekował małorolnymi i średnioralnymi gospodarstwami, będzie ich bronił przed wyzyskiem i uciskiem kapitalistów, będzie organizował życie wsi zgodnie z przedstawionymi przeze mnie zasadami i będzie liczył na chłopów indywidualnie gospodarujących, że dołożą wysiłku, aby podnosić produkcję i w ten sposób zapewnić wyższą stopę życiową sobie i robotnikom.

Stefan Ignar

Henryk Syska

NARÓD CZY RZYM?

„Wiemy, że wasza—kleru—ojczyzna była i jest w Rzymie i jeśli wam z nią dobrze to się jej trzymajcie. My, lud nie myślimy wam w tym przeszkadzać ani zazdrościć. Ale mamy prawo żądać i żądamy, iżbyście nareszcie tę naszą ludową zostawili w spokoju, byście nam nie przeszkadzali odradzać się dla niej"

I.

Blisko czterdzieści lat upłynęło od chwili, gdy Mateusz Manterys, chłop z Kieleckiego wypowiedział te słowa na łamach „Zarania" pod adresem biskupa Łosińskiego. Wiele od tego czasu zmian zaszło w stosunkach społecznych i politycznych kraju. Nie postąpiło wszakże ani kroku naprzód polskie duchowieństwo. Tak jak lat temu kilkadziesiąt żyje ono w izolacji od najżywotniejszych potrzeb narodu i jego pozytywnych osiągnięć, jak lat temu kilkadziesiąt i kilkaset woli błąkać się w marzeniach po zaułkach Wiecznego Miasta niż wiązać się organicznie z życiem codziennym narodu, wśród którego wzrasta i pracuje.

Pamiętamy, jak wiosną 1948 roku Polska opinia społeczna poruszona została listem pasterskim do narodu niemieckiego w sprawie naszych granic zachodnich. Przez kraj cały przepłynęła wówczas fala oburzenia, przeciwko polityce papieskiej, biorącej w obronę odradzający się hitlerowski rewizjonizm. Przez długi czas milczał jedynie kler. Zabrakło mu odwagi, aby publicznie oświadczyć, że w tym wypadku Watykan przebrał już miarkę, że uderzył w naród, który najwięcej wycierpiał w czasie ostatniej wojny. Episkopat polski tego jednak nie uczynił. A kiedy wreszcie po dłuższym milczeniu odezwała się katolicka publicystyka na łamach „Tygodników Powszechnych", „Rycerzów" i innych „Niedziel", kiedy raczył się wreszcie odezwać po wielu miesiącach książe kościoła polskiego ks. kardynał Hlond, to nie z zamiarem odparcia niesłusznych i oszczerczych argumentów papieża, lecz w tym przede wszystkim celu, by go różnymi sztuczkami scholastycznymi wybielić, by zrobić z niego, o ironio, apostoła i obrońcę ludu polskiego. Zabrakło duchowieństwu polskiemu odwagi, by zaapelować u papieża „źle poinformowanego". Jakże daleko naszemu duchowieństwu do utrzymania godności narodowej, reprezentowanej choćby na przykład przez kler Irlandii w końcowych latach ubiegłego wieku, kiedy ten ostatni oklaskiwał żywiołowo jednego z czołowych przywódców narodowych swego kraju. Przywódca ów, omawiając publicznie konflikt z papieżem podobny do naszego sprzed kilkunastu miesięcy, użył nader mocnego i dosadnego zwrotu:

„Czcigodny stary gentleman uczyniłby lepiej, pilnując spraw bliższych i nie zaglądając do Irlandii, bo na tak znaczną odległość nawet nieomylne oko błąd popełnić może".

Na tak śmiałą opowiedź duchowieństwo polskie nie zdobyło się. I nic dziwnego, zbyt jest bowiem mocno przejęte wiernopoddańczym serwilizmem wobec rozpolitykowanych przedstawicieli opoki piotrowej. Zbyt mało jest samodzielne w myśleniu. Zbyt głęboko jest przejęte kultem dla starej burżuazyjnej przeszłości, w której Watykan jest jednym z podstawowych i autorytatywnych podpór moralnych.

II.

W jaki sposób polityka papieska starała się wychować katolicki lud polski w ślepym posłuszeństwie zaborcom świadczy list Leona XIII do biskupów polskich wszystkich trzech zaborów. List ten drukowano w 1894 roku w prasie katolickiej, w rządowych dziennikach, odczytywano go z ambon. Dowiadujemy się z niego, między innymi, że Kościół:

„Nie uczy ani nie nakazuje niczego zgoła, coby w najmniejszej mierze sprzeciwiało się dostojeństwu monarchów. Panujący piastują, władzę nad ludami z ramienia Bożego sobie nadaną. Poddani powinni panującym okazywać część i wierność, tudzież jako Bogu przez ludzi królującemu, uległość nie tylko dla gniewu, ale też i dla sumienia. Czynić za nich prośby, modlitwy, dziękowania, powinni stosować się święcie do przepisów państwa, zdala się trzymać od wszelkich inowacji, intryg czy rokoszu, przykładać się wszystkimi środkami do podtrzymywania porządku i pokoju. W łonie trzód waszych najpożądańszą zaiste byłoby rzeczą strzec się podszeptów ludzi przewrotnych, w zbrodniczym zaślepieniu nie cofających się przed niczym dla zwalczania i podkopania władzy. W wierze świętej należnej Bogu czerpać podnietę do wierności względem państwa i monarchów."

Są to słowa najwyższej głowy Kościoła. Słowa, kóre miały być drogowskazem dla ujarzmionego przez trzy potęgi militarne narodu. W dalszych złotych radach papieskich znajdujemy pouczenie, jak ma się duchowieństwo i lud zachować w stosunku do poszczególnych władców.

„Wy podlegający przesławnemu domowi Habsburskiemu miejcie na baczeniu, ile zawdzięczacie dostojnemu cesarzowi w najwyższym stopniu do wiary przodków przywiązanemu. Udawadniajcie tedy z dniem każdym jawniej swą względem niego wierność i pełną wdzięczności uległość".

„...Zwracamy się do was, co zamieszkujecie prowincję poznańską i gnieźnieńską. Miło nam widzieć, z jakim posłuszeństwem i przywiązaniem czynnym rządom jednomyślnie sprzyjacie. Pozwala to mieć nadzieję, że stan sprawy katolickiej będzie u was pomyślniejszym. By zaś nadzieję tę na tym pewniejszych oprzeć podstawach i pewniejszego oczekiwać spełnienia życzeń, nie bez przyczyny zalecamy wam ufność w wielkoduszną sprawiedliwość cesarza, o jego bowiem względem was przychylności i życzliwym usposobieniu osobiście od niego samego powzięliśmy wiadomość."

Powyższe nauki papieskie ogłoszono przez usta polskiego duchowieństwa polskiemu ludowi, wówczas, kiedy wśród ludu tego rozbudzała się coraz bardziej świadomość narodowa, kiedy serca jego ożywiła już tęsknota do samodzielnego bytu państwowego, kiedy tysiące najlepszych synów Ojczyzny pędzonych było za działalność patriotyczną i społeczną na Sybir, konało w twierdzy Kurtsteinskiej, uginało się pod uderzeniem obucha kajzerowskiej policji.

Tak oto wygląda bez maski kosmopolityzm papieskiego dworu. Kosmopolityzm, który błogosławił tyranię, a deptał prawa narodów. Kosmopolityzm, który ludowi kazał cierpieć, a możnym używać dobr ziemskich. Kosmopolityzm, którym w tej chwili szarżuje zapamiętale propaganda anglosaskiego imperializmu. Czy ta zbieżność poglądów Rzymu i Waszyngtonu jest przypadkowa, czy też wspólnie przemyślana i uzgodniona — niech osądzą czytelnicy.

III.

Kiedy po długich latach milczenia wystąpiły na widownię życia politycznego wyzwoleńcze ruchy chłopskie i robotnicze, cały autorytet ołtarzy obrócił się przeciwko ich działalności. Przypomnijmy listy pasterskie biskupów galicyjskich przeciwko „Przyjacielowi Ludu", „Wieńcowi i Pszczółce", czy socjalistycznemu „Naprzodowi". Dobądźmy z archiwów kurialnych kurendy przeciwko „Zagonowi", „Siewbie", a zwłaszcza „Zaraniu", odszukajmy teksty potępienia na demokratycznych kapłanów, jak ks. Stanisław Stojałowski, czy o. Antoni Wysłouch (Szech), kapucyn z Nowego Miasta. Sięgnijmy do notatek starych działaczy ludowych, którzy zwierzają się nam z własnych doświadczeń na tle walki z plebanią, gdy wieś się budzić poczęła... Dość liczne są dowody, odkrywające ciemną stronę działalności polskiego kleru Podobnie w okresie dwudziestolecia prowadzono walkę z chłopską lewicą przy pomocy ambon konfesjonałów i dewocyjnych gazet. W 1928 r. biskup diecezji łomżyńskiej, Stanisław Łukomski, wskrzeszając tradycję niesławnej pamięci biskupa Zdzitowieckiego i Łosińskiego wydał list pasterski, w którym potępia działalność socjalistów i ludowców. List ten odczytany został po wyborach do Sejmu i Senatu w 1928 roku. Ostrze jego skierowane było przeciwko tym wioskom i parafiom, które nie usłuchały agitacji kazalnicowej, lecz poszły własną, samodzielną drogą.

„Pamiętajcie o tym, wyborcy socjalistów, wyzwoleńców, komunistów i tzw. Stronnictw Chłopskich, że każda uchwała w Sejmie tych przez was obranych posłów, szkodliwa dla wiary i Kościoła, ciężarem młota spadać będzie na wasze sumienia i że wy za te ich uchwały przed Sędzią Bożym odpowiadać będziecie, boście na takich posłów dobrowolnie głosowali.

Zgorszenie dane przez takich wyborców całemu ogółowi katolickiemu i krzywda wyrządzona Kościołowi Bożemu nie może minąć bez dania Bogu zadość uczynienia w tych parafiach, w których się znaczniejsza liczba takich wyborców wykazała.

Przeto rozporządzam, aby na znak żałoby i smutku w parafiach o znaczniejszej ilości głosów oddanych na listy socjalistów, Wyzwolenia, Stronnictw Chłopskich zaniechano odbycia uroczystej procesji rezurekcyjnej. We wszystkich zaś parafiach zabraniam święcenia wielkanocnego w tych miejscowościach, w których oddano głosy na listy stronnictw wyżej wymienionych. Takim zaś parafianom, którzy upomnieni, nie wyrzekną się należenia do partii socjalistów, wyzwoleńców, komunistów lub Stronnictw Chłopskich, należy odmawiać sakramentów św. i pogrzebu kościelnego. Podobnie postąpić należy z parafiami czytającymi pisma wymienionych stronnictw lub popierającymi je składkami swoimi".

Czy długo jeszcze będziemy musieli powtarzać słowa chłopa Monterysa sprzed czterdziestu lat?

Wiemy, że wasza—kleru—ojczyzna była i jest w Rzymie i jeśli wam z nią dobrze, to się jej trzymajcie. My, lud, nie myślimy wam w tym przeszkadzać ani zazdrościć. Ale mamy prawo żądać i żądamy, iżbyście nareszcie tę naszą ludową zostawili w spokoju, byście nam nie przeszkadzali odradzać się dla niej."

Czy długo jeszcze będziemy czekać na stanowisko Episkopatu polskiego wobec Watykanu podobne do tego, jakie zajęło katolickie społeczeństwo irlandzkie z końcem ub. wieku?

„Czcigodny stary gentleman uczyniłby lepiej, pilnując spraw bliższych i nie zaglądając do Irlandii, bo na tak znaczną odległość nawet nieomylne oko błąd popełnić może."

Andrzej Wasilewski

Droga pisarska Kazimierza Brandysa *)

Kazimierz Brandys

I.

Pierwszą część cyklu „Między wojnami" — „Samsona" — określić można mianem **szkicu biograficznego.** Forma ta jest charakterystyczna dla pierwszego, przełomowego etapu rozwoju powojennej prozy.

Wiele momentów składa się na to, że nowe, postulowane przez krytykę marksistowską treści przyoblekły się w ten właśnie kształt literacki.

Po pierwsze — w ramach jednostkowego życiorysu najłatwiej da się zrealizować postulat „socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego", tzn. takiego rysunku dziejów człowieka, w którym ujawnia się ich zależność od determinantów społecznego ustroju. Przejrzysta forma biograficznego szkicu pozwala ostro uwypuklić główne momenty realistycznej prawdy o losie człowieka w mechanizmie społecznego życia.

Po drugie — kompozycja utworu oparta na wyodrębnionych z szerszego tła dziejach jednostki jest nieprzezwyciężoną tradycją „inteligenckiej" prozy: monografia realnego przebiegu życiowego zastąpiła monografię duchowych przeżyć inteligenta budującego swe mitologiczne światy. Wydaje się, że w nieumiejętności komponowania szerszych obrazów społecznego życia, w niemożności uchwycenia pełnej struktury obiektywnej rzeczywistości w tok czysto epickiego, powieściowego rozwiązania — tkwi zasadnicza trudność rzemiosła pisarskiego autorów, których poprzednie, „inteligenckie" utwory zaabsorbowane były wyłącznie pojedynczym człowiekiem. Stare środki i doświadczenia pisarskie nie pasują do nowych treści. I oto wyłania się moment trzeci, sprawa szkicu. Szkic biograficzny jest, z literackiego punktu widzenia, formą niejednolitą: posługuje się nie tylko środkami ekspresji właściwymi literaturze pięknej, a więc językiem obrazów, przedstawień, ale i sposobami wyrazu przynależnymi essayom, studiom publicystycznym itp., a więc — językiem refleksji, pojęciowego skrótu. Sam przebieg poszczególnych wydarzeń jednostkowego życia jest oddany językiem przedstawień—ale uzasadnienie historycznej konieczności takiego właśnie przebiegu życiowego, ujawnienia go jako wypadkowej rozmaitych sił społecznych dokonuje się w esseistycznej wstawce. Konieczność uciekania się do tego rodzaju ujęć świadczy o nie dość pewnym i wnikliwym stosunku autora do tematu, o jego nie dość głębokim doświadczeniu społecznym, wreszcie, co jest tylko odwrotną stroną rzeczy — o nieopanowaniu techniki pisarskiej, odpowiadającej nowej ideologii artystycznej i nowej tematyce.

Spośród trzech omówionych momentów — z których przecięcia powstała forma szkicu biograficznego, pierwszy jest przejawem postępowych i owocnych tendencji literackich, dwa następne są okupem złożonym przez Brandysa prawu przełomów.

Zasadniczy zwrot Brandysa ku nowej, postępowej ideologii artystycznej, dokonał się w „Samsonie". W „Antygonie" zaś widzimy przełamywanie się schematycznej konstrukcji szkicu biograficznego w formę powieściową. Dowód poniżej.

II.

Zasadą zwierającą kompozycję „Antygony" jest w ostatecznym rachunku proces rozkładu stosunków kapitalistycznych. „Właściwym jej bohaterem jest przecież... walący się świat, u którego kresu czeka nieprawdziwe i straszne słowo: umarł człowiek" — pisze autor.

Ośrodkiem akcji jest los Ksawerego Szarleja. Krzywa jego życiowych sukcesów i upadków jest formą wypełnienia tej najogólniejszej zasady kompozycyjnej.

Szarlej, skażony w dzieciństwie chorobliwą atmosferą rozkładającego się ziemiaństwa, którego byt materialny stanie się dlań na całe życie nieosiągalnym wzorem, kolejno dworski fagas, łamistrajk, aferzysta i oszust w sprzyjającej koniunkturze kapitalistycznych stosunków, podczas okupacji zostaje kolaboracjonistą w zamian za udział w zyskach makabrycznego przedsiębiorstwa mordowania i łupienia Europy. Pozycja społeczna przedwojennego lokaja międzynarodowego kapitału i wojennego lokaja faszystowskich okupantów nie zmienia się zasadniczo, staje się tylko bardziej jaskrawa. Konstrukcja losu osobnika bez przynależności klasowej i bez moralnych zasad została przez Brandysa trafnie uchwycona. Trafność ta polega nie na prostym odzwierciedleniu drogi życiowej przeciętnego przedstawiciela lumpenburżuazji, którego dzieje wypadłyby zapewne mniej awanturniczo, lecz na doprowadzeniu do najradykalniejszego wyrazu tych społecznych tendencji, tych realnych możliwości, jakie wynikają z jego sytuacji i roli społecznej.

Rozmaitość burzliwych losów walki o majątek i awans społeczny powinna dostarczyć takiej ilości konkretnych, wyrazistych sytuacji, aby obnażył się w nich mechanizm ustroju miażdżącego w swych trybach nieświadomą jego biegu jednostkę. Pisarz-realista bowiem, dla którego prawem kompozycji powieściowej jest przebieg procesu społecznego, nie może zaniechać wyjaśnienia tej, niewidocznej na powierzchni zdarzeń, prawidłowości. Wówczas bowiem przypadki indywidualnego życia, tracąc swój symboliczny sens historycznej konieczności, nabrałyby wymowy groteskowej.

Jakie „konieczności historyczne" określają kompozycję „Antygony"? Konieczność pierwsza — los Ksawerego Szarleja musi zakończyć się klęską. Konieczność druga — musi upaść społeczna potęga ziemiańskiego dworu. Konieczność trzecia — musi nastąpić wybuch konfliktu między Ksawerym a Orszyną.

Jakimi środkami literackimi uzasadnia Brandys nieuchronność tych trzech finałów?

Konieczność pierwsza. Czytamy: „...szybko spostrzegł, jak **zamyka się nad nim niewidzialne sklepienie, jak zgina mu kark i zmusza do uległości...** a jednak powoli dawał się wpędzać w los podobny do innych, jak we wspólny ściek..." (str. 43, podkr. moje).

Oto mamy wyjaśnienie nieuniknionego upadku Szarleja. Pisaliśmy już, że różnorodność jego zmiennych losów mogłaby dostarczyć wachlarza konkretnych sytuacji, w których ujawniłyby się sprzeczności procesu rozkładu kapitalizmu. Ale tu dochodzą do głosu prawa formy biograficznego szkicu, który z założeń swych nie rozporządza wachlarzem konkretnych sytuacji, który ogranicza do minimum kontakty bohatera z ludźmi (moment 2), ciągnąc pospiesznie i wśród abstrakcyjnych sformułowań nić jego losu. W skrótowym rzucie biograficznym konflikty występują jako bezosobowe siły. Bezpostaciowość to — w konsekwencjach literackich — odautorski essay. I oto w miejsce zewnętrznych sił, które w coraz to innej postaci wyrastają na drodze życiowej Ksawerego przyspieszając lub opóźniając jego nieunikniony upadek — mamy ogólnikowe „niewidzialne sklepienie". Jest to skaza w realistycznej materii utworu.

Konieczność druga — upadek potęgi społecznej dworu. Dla epickiego uzasadnienia tej historycznej konieczności musiałby autor wprowadzić w akcję utworu przedstawicieli ludowych sił, których napór poświadczyłby, że rola ziemiańskiego polipa jest policzona na dni. Takie rozwiązanie nie mieściłoby się w ramach formy biograficznego szkicu. I oto Brandys rozszerza horyzonty polityczne utworu każąc Ksaweremu wysłuchać opowiadania Decza o kłopotach Orszyny z narastającym wśród dworskich fornali ruchem komunistycznym. Dzięki temu, zaaranżowana na ostatnich kartach utworu, śmierć Orszyny nabiera znaczenia symbolu.

Ten drugi sposób ukazywania historycznego charakteru przypadkowych wydarzeń mieści się wprawdzie w ramach szkicu biograficznego, ciąży jednak ku sytuacjom powieściowym.

Konieczność trzecia — stosunek Ksawerego do Orszyny, ich nieunikniony konflikt oparty na sprzecznościach ustroju społecznego, rozwija się w sposób całkowicie samodzielny, powieściowy. Co znaczą te słowa — zaraz wyjaśnimy.

Już samo wyliczenie trzech typowych procesów społecznych, stanowiących o kompozycji „Antygony", musiało nasunąć przypuszczenie, że Brandys przełamał konstrukcję jednostkowej biografii. Istotnie, postać Orszyny, jej trafnie uchwycona funkcja społeczna — to osobny nurt w świecie „Antygony".

Stosunki Ksawerego z Orszyną datują się od wczesnego dzieciństwa, kiedy to Ksawery, jako lokajski bratanek, dopuszczony jest do zabaw z panienką.

W tych czasach zarysowuje się między nimi dziecięce uczucie nieuświadomionej miłości. Ksawery szybko jednak uświadamia sobie, że te sielskie stosunki rychło zostaną zerwane: ją oddadzą na pensję, a jego ubiorą w liberię. Ta refleksja jest bezpośrednim bodźcem do jego akrobatycznej kariery aferzysty. W dwadzieścia lat później zostaje na jedną noc kochankiem Stanisławy Orszyny. Od tego czasu uczucie wzajemnej niechęci, zawiści, nienawiści rośnie wraz z pogłębianiem się różnic ich sytuacji społecznej. W czym jednak „powieściowość" tego wątku? W tym, że rozwój konfliktu odbywa się bez pomocy komentarza autorskiego, przebiega wyłącznie we wzajemnych spotkaniach. Konkretne i coraz to różne sytuacje stwarzają rozmaite typy wzajemnych urazów, odpowiadających ich kolejnym pozycjom społecznym.

Tak uzasadniony konflikt trzeciej konieczności kompozycyjnej „Antygony" jest już zaczynem realistycznych form powieściowych.

Nie bez zamysłu rozpatrzyliśmy trzy różne sposoby przezwyciężania przypadkowości w powyższym porządku. Są one etapami w przełomie realistycznej metody Brandysa: od schematycznych konstrukcji biograficznego szkicu, poprzez formy pośrednie — do prawdziwie realistycznych konstrukcji powieściowych z ich skomplikowaną powierzchnią wydarzeń i z ich dialektyczną syntezą typowych procesów i niepowtarzalnych, pojedynczych, pulsujących żywą krwią spraw.

III.

Wnioski z dotychczasowych rozważań są więc — w stosunku do następnych tomów cyklu optymistyczne. Omówione zmagania są jednak jedynym okupem złożonym przez Brandysa prawu przełomów. Bardziej niepokojący — wobec braku śladów przezwyciężania — jest okup inny: sposób budowania postaci bohatera.

Pamiętamy główną postać „Samsona"—Jakuba Golda. Był on marionetkowym tworem zindywidualizowanym jedynie przez swoje cechy zewnętrzne. Realistyczna konstrukcja jego losu zbudowana została za cenę pozbawienia go własnego oblicza. Był on bierną ofiarą mechanizmu historii.

Recenzenci „Antygony" przyznali już Ksaweremu pełny wymiar jednostkowych rysów. Istotnie, postać Ksawerego Szarleja jest o wiele pełniejsza, żywsza od postaci Jakuba Golda. Ksawery myśli, komentuje swoje i cudze uczynki, prowadzi swój wewnętrzny monolog. W tych sądach o świecie ujawniają się zasadnicze rysy jego charakteru. Sam jego trzon jest uwarunkowany klasowo: jego amoralizm jest cechą wspólną kapitalistycznych drapieżców, jego mentalność jest sposobem myślenia człowieka żyjącego poza masą społeczeństwa. Kim poza tym jest Szarlej? Czułym ojcem, złamanym chorobą i życiem starcem, w gruncie rzeczy miękkim i słabym w stosunkach z ludźmi, sentymentalnym miłośnikiem krajobrazu. Po pomyślnym przeprowadzeniu złodziejskich machinacji z papierami pożyczkowymi wrócił do Wilczek, gdzie: „...był spokojny, trochę smutny i łagodny dla ludzi. Opuszczał je z żalem i jeszcze raz oglądał z ganku różowe pasma łąk na horyzoncie..." Balzak dałby mu raczej namiętne spojrzenie dorobkiewicza.

Ta znaczna niewspółmierność między jego awanturniczymi dziejami, istotnie godnymi typowego krętacza, a podkreślaną na każdym kroku miękkością i łagodnością jego prywatnego charakteru jest bodajże głównym załamaniem ideologii artystycznej „Antygony". Akt oskarżenia przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu wskutek takiego rozmieszczenia akcentów winy jest tym ostrzejszy. Zarazem jednak bohater z człowieka działającego staje się „produktem, narzędziem" ustroju. Cóż z tego, że jest on obdarzony indywidualnymi cechami, skoro te właściwości osobistego temperamentu nie odgrywają żadnej, a w najlepszym razie — minimalną rolę w wyborze i przebiegu jego życiowych dziejów. Chodzi tu nie tylko o fałszywą, fatalistyczną, bynajmniej nie marksistowską konstrukcję osobowości ludzkiej, lecz także o literackie, artystyczne konsekwencje takich założeń. Gdy dramat życiowy jednostki przebiega po linii wytyczonej zależnością między jej charakterem a całokształtem stosunków zewnętrznych — artystyczna konstrukcja losu ma głęboki sens społeczny i jest zarazem opowieścią o określonym, pojedynczym człowieku. Z chwilą odebrania jednostce prawa do wyboru własnego losu — pozostaje tylko ów sens społeczny. To dużo, ale za mało.

Pisaliśmy, że takie ujęcie osoby bohatera jest pewną nieprzezwyciężoną tradycją pisarską Brandysa. W komentarzu autorskim czytamy: „...jeszcze jedna odmiana samotności... jeszcze jeden los, który się nie udał..."

Zdaje się, że jesteśmy na tropie ulubionego typu literackiego „inteligenckich" powieści: bohater „Drewnianego konia", Jakub Gold i Ksawery Szarlej mogą stanąć obok siebie w jednym szeregu: wszyscy trzej to bezradne, bezświadome, beznadziejnie zaplątane w rzeczywistość jednostki. Świat rzuca nimi jak piłką, oni zaś są biernymi uczestnikami tej okrutnej zabawy. Wszyscy trzej pochodzą z upodobania autora do natur słabych, nijakich, do duchowych mięczaków, którym „los się nie udał". Inteligencki, bezwolny mięczak nie razi nas: jego struktura duchowa jest usprawiedliwiona w klimacie nieróbstwa, społecznej izolacji, przerafinowania kulturalnego. Ale Ksawery Szarlej nie jest bezwolną ofiarą kapitalistycznego ustroju — on jest jego **czynnym** współuczestnikiem.

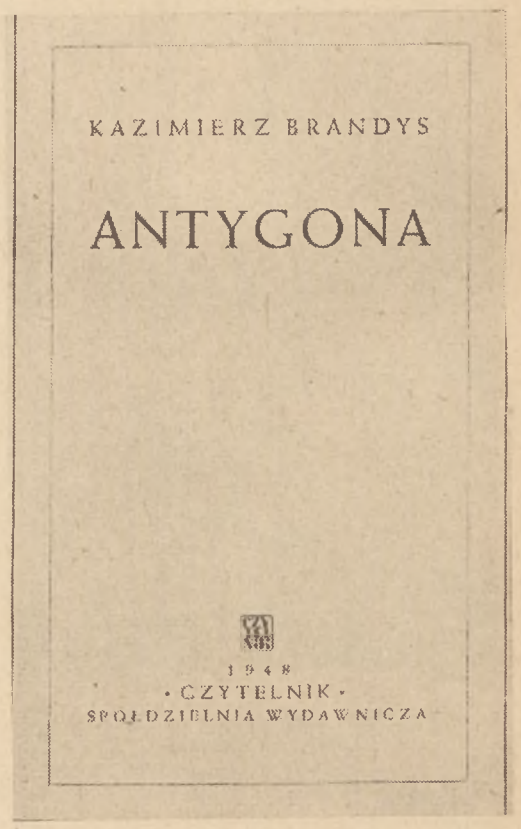

I oto nowa trudność rzemiosła pisarskiego w przełomowej fazie: trudność polegająca na nieadekwatności środków literackich „inteligenckiej" prozy do przedstawiania natur czynnych, zdobywczych, energicznych.

Jeszcze jeden wspólny rys wiąże omawiany tom z tradycjami pisarskimi autora „Drewnianego konia". Kazimierz Wyka, charakteryzując postawę Brandysa — oskarżyciela mieszczańskiego i kapitalistycznego świata, napisał, że skręca on „bat na wszystkich mieszczańskich synków oprócz synka ulubionego". Formuła ta zachowuje swą trafność także w stosunku do „Antygony".

Rozmaitymi środkami mobilizuje autor współczucie czytelnika dla Ksawerego: opisami ustawicznych cierpień chorobowych, ujmowaniem jego losów jako dziejów zaszczutego zwierzęcia (sposób znany z „Samsona", gdzie był jednak usprawiedliwiony). Nawet fizjologia starczego wieku przywołana zostaje na pomoc. Złowrogie rysy charakteru, drastyczność sytuacji miast potęgować się i uwyraźniać w ostrym świetle satyry, łagodnieją i zacierają się w pełnych czułości rękach autora. Wynik — Ksawery nie jest typowym aferzystą z epoki imperializmu. Sentymentalny, przeczulony moralista zwyciężył realistę.

Ale nie brak Brandysowi demaskatorskiej ostrości widzenia w stosunku do pobocznych postaci utworu: wizerunkowi Orszyny nie oszczędzony został żaden, nawet najbardziej skandaliczny rys. Kilka pociągnięć oddaje dostatecznie typ socjologiczny kabotyńskiego sanacyjnego pułkownika — Tyrskiego. Parę suchych, wstrzemięźliwych uwag wystarczy, aby zarysować doskonały portret nowoczesnego „ucywilizowanego" niemieckiego rabusia — Pausta. To ratuje honor Brandysa realisty.

Dialektyka przełomów literackich ma swoje prawa: wiadoma rzecz, że przemiany artystyczne następują i wolniej, i trudniej niż przemiany ideologicznej postawy pisarza. Toteż sporządziłem powyższy pobieżny bilans dla zorientowania się w drodze rozwoju pisarskiego Brandysa.

Stało się tak z natury samej krytyki, że niedomagania techniki pisarskiej — i moim zdaniem — błędy ideologii artystycznej wysunęły się na plan pierwszy przesłaniając pozytywne, realistyczne osiągnięcia autora „Antygony". W tej mądrej i śmiałej artystycznie książce, przekazującej czytelnikowi prawdziwą wiedzę o losie człowieka w dobie rozkładu kapitalizmu, widzę, jak to starałem się wykazać, **drugi krok** ku powieściowemu realizmowi socjalistycznemu.

Autor „Antygony" należy do pisarzy, którzy najodważniej wprowadzają do literatury nowe treści i po których najbardziej spodziewamy się spełnienia realistycznych postulatów. Niech to będzie usprawiedliwieniem **postulatywnego** charakteru recenzji.

*) Kazimierz Brandys: „Między wojnami", cz. II „Antygona". Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa 1948, str. 246 i 1 nlb.

Jest jeszcze do nabycia pewna ilość roczników „Wsi"

ZA ROK 1947 I 1948
CENA ROCZNIKA W OPRAWIE WYNOSI 1 500 ZŁ.

Zgłoszenia prosimy kierować na adres: Administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 133. Wysyłka za zaliczeniem pocztowym, można także wpłacać na konto PKO: Łódź VII 1080, Redakcja Tyg. „Wieś" z zaznaczeniem „za rocznik „Wsi" rok 1947 ew. 1948".

ADMINISTRACJA TYG. „WIEŚ"

Paulina Czyżowa

Wystawa amatorów plastyków Zw. Zaw. w Łodzi

Anna Laufer — magazynier. — Ognisko Kultury Plastycznej

W Galerii Miejskiej w Łodzi otwarto niezwykłą wystawę — wystawę prac amatorów-plastyków, członków Związków Zawodowych. Na wezwanie OKZZ w Łodzi (impreza zresztą jest ogólnokrajowa, wystawy regionalne są eliminacyjne) nadesłano 300 prac. Są wśród nich obrazy olejne, rysunki, akwarele, parę rzeźb i malowideł na szkle. Autorami prac są zarówno pracownicy fizyczni jak i umysłowi, rzemieślnicy i ludzie zawodów, które kulturalnie ciążą ku drobnomieszczaństwu, ludzie bez żadnego wyszkolenia plastycznego — talenty „samorodne" i uczniowie Ogniska Kultury Plastycznej pozostający pod ścisłą opieką szkoły.

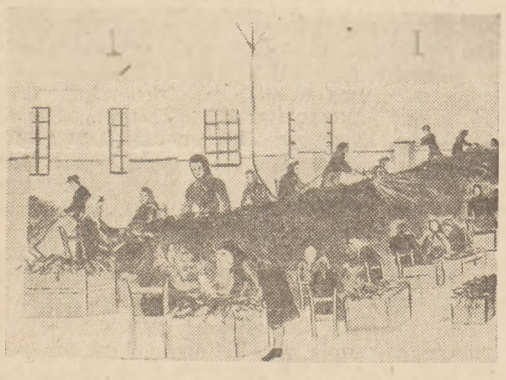

Wacław Molenda — robotnik PMT w Radomiu. — Rozlistkowywanie surowca tytoniowego — akwarela.

Układ tak pomyślanej wystawy daje przekrój formalno-rzeczowy, a nie socjologiczny. Pokazano mianowicie trzy etapy amatorstwa plastycznego. Pierwszym z nich jest oczywiście kopiowanie z pocztówek, fotografii, różnego rodzaju landszaftów, oraz rozpowszechnionych reprodukcji, złej tradycji malarskiej — jak np. „Szał" Podkowińskiego. Wybór wzoru do kopiowania świadczy już o pla-

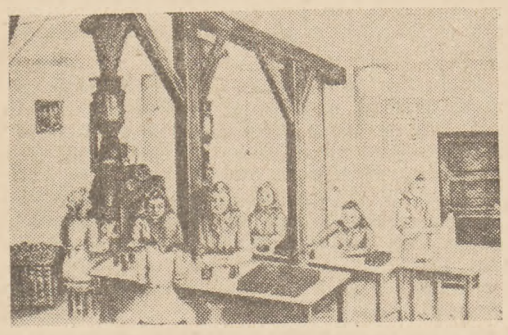

Z. Borucha. — Rysunek kredką

stycznym guście rysownika bez względu na to, na ile udolnie odtworzono kształt wzoru świadczy ponadto o klasowo-kulturalnej przynależności. Przytłaczająca ilość ukazanych na wystawie kopii wprawdzie dobrze mówi o czułości OKZZ wobec amatorów artystów, ale źle raczej o pedagogicznym znaczeniu wystawy. Ta część wystawy jest demaskująca. Odkrywa się tu wszędzie drobnomieszczański

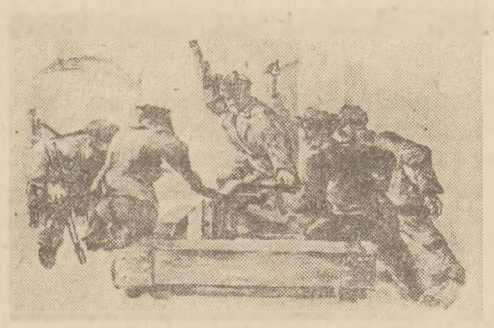

Zygmunt Janowski — rzemieślnik kolejowy— Scena z parowozowni Sempolno — nitowanie

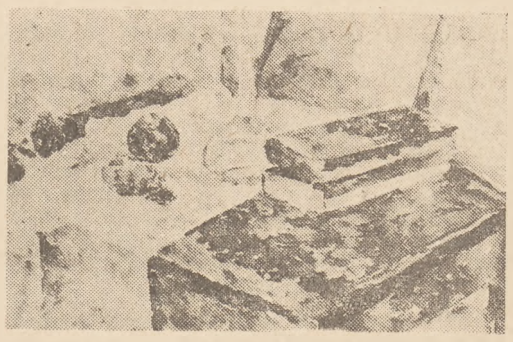

Tadeusz Borkowski — iglarz. — Ognisko Kultury Plastycznej

smak — choć są tu prace robotników, rzemieślników, pół-inteligentów i inteligentów. Tu niestety nie wystarczają objaśnienia w rodzaju: pracownik PMS, referent. Wnioski narzucające się zbyt szybko mogą być krzywdzące dla oceny stanu kulturalnego klasy robotniczej. Wystawa podobna — tak samo jak i zbiór samorodnych utworów literackich tzw. literatury ludowej — może być jasna tylko przy dokładnym objaśnieniu życiorysowym autorów, przy określeniu ich wykształcenia, tradycji kulturalnych, stopnia świadomości klasowej. Wiele z tych obrazów jakby zdjętych z nad kanap i z zapluskwionych ścian jest groźnym przypomnieniem zaniedbania kulturalnego mas, które innych treści plastycznych nie wynoszą z wyglądu zewnętrznego miast, wystaw sklepowych, wnętrza sal rozrywkowych, kin itd.

Drugi etap amatorstwa to prace oryginalne, własne. Już zaznaczenie przez autora, że praca robiona jest „z pamięci" lub „z wyobraźni" musi być jako ambicja ocenione pozytywnie. Często jednak i „w pamięci" i „w wyobraźni" przechowują się pocztówkowe wzory smaku. Tutaj przecież, w tej grupie znajdujemy zjawiska najciekawsze. Tutaj zarazem wychodzi na jaw niejasność koncepcji wystawy, w której poprawne, ale bez żadnej indywidualności pejzaże i portreciki mieszczą się obok naiwnych często, ale pełnych własnego życia kompozycji „samorodnych talentów". Scisłość, rzeczowość scen rodzajowych budzi zaufanie do ich wysiłków plastycznych. Spójrzmy np. na trzy reprodukcje prac oryginalnych przedstawiające sceny z warsztatów pracy. Np. „Rozlistkowywanie surowca tytoniowego". Kompozycja tego obrazu malowanego gęstą akwarelą jest spokojna, rzeczowa i szlachetna. W obrazie przedstawiającym „nitowanie" robotnicy ukazani są w tak pełnym geście, w takim skupieniu w punk-

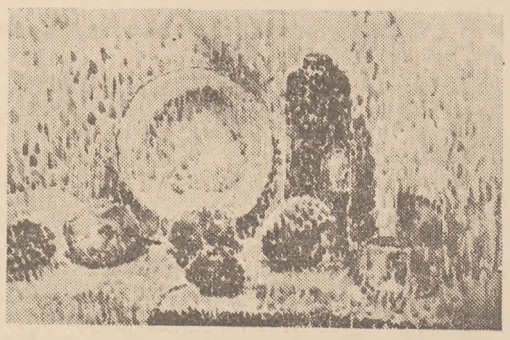

Władysław Boniecki — hafciarz. — Ognisko Kultury Plastycznej

cie centralnym kompozycji, że istotnie wyczuwa się u autora prawdziwe doświadczenie fachowca-robotnika znającego się na pracy, którą przedstawia.

Zdawałoby się, że pedagogika plastyczna w stosunku do autorów podobnych prac powinna szanując ich indywidualne doświadczenie plastyczne i zainteresowania kompozycyjne — starać się o wydobycie i podkreślenie dobrych, własnych cech ich rysunku, nie zacierając, ale doprowadzając do świadomości naiwny zmysł dużych, pełnych życiowej dynamiki kompozycji figuralnych.

Tematyka, że tak powiem, „warsztatowa" tych prac może być oceniona tylko pozytywnie — świadczy o plastycznej uczciwości autorów, którzy już pod banalną papugą z poduszki na kanapie nie podpisują: „z pamięci".

Ponadto świadczy ona o uwadze i poszanowaniu wobec warsztatu pracy, który staje się w ich pojęciu godny wyrazu artystycznego. Funkcja tego malarstwa amatorskiego jest niewątpliwie inna niż funkcja malowania kwiatów laurkowych, a nawet banalnych pejzaży.

Wspomnieliśmy o zadaniach pedagogiki wobec artystów-amatorów. Te zadania spełnia właśnie Ognisko Kultury Plastycznej, którego prace stanowią trzeci etap artystycznego amatorstwa i wydzielone zostały na wystawie wyraźnie pozytywnie. Widzimy tu dobre i poprawne rysunki szkolne: akty, portrety oraz dość manieryczne w wyraźnie narzuconej technice punktowej „martwe natury". Wyniki formalne zapewne imponujące, ale jednocześnie budzące wątpliwości i zarzuty.

Szkoła i nieodłączna od niej maniera formalna są oczywiście koniecznym etapem wykształcenia plastycznego, ale są one po to, aby je po opanowaniu odrzucić i znaleźć samodzielną linię twórczości.

Jadwiga Hiszpańska — księgowa. — Ognisko Kultury Plastycznej

Dla kształcenia artystów-malarzy nie ma drogi poza szkołą. Inaczej chyba natomiast przedstawia się sprawa dokształcania plastycznego ludzi dorosłych, którzy nigdy za-

Walenty Napierała — pracownik Wytw. Lubań—Wronki Przem. Ziemniacz. w Wągrowcu. — Brzeg morski

wodowymi malarzami nie będą, a malarstwo traktują albo jako zajęcie rozrywkowe, albo jako zapisywanie osobistych doświadczeń i wzruszeń plastycznych. Wobec tych niewątpliwie należałoby zastosować inne metody kształcenia.

Wątpliwości te może zechcą w dyskusji podjąć i wyjaśnić plastycy. Tutaj posłużą nam one tylko do usprawiedliwienia niepokojących wrażeń z wystawy amatorów-plastyków. Związki Zawodowe w swojej koncepcji wystawy kierowały się być może względami praktyczności — wyłowienie tzw. samorodnych talentów, ale zbagatelizowały społeczno-kulturowy sens wystawy, po który przychodzą tu oglądający.

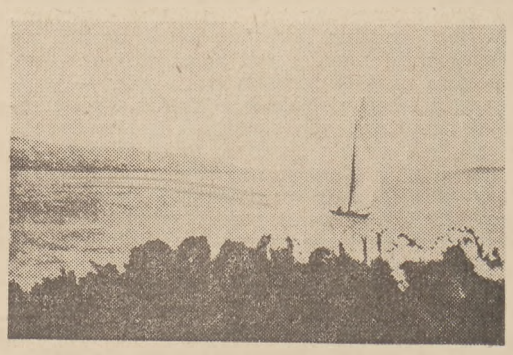

Władysław Wilmański — 2 kl. gimn. prac. Rektyfikacji PMS w Sieradzu. — Fragment Riviery włoskiej — olej.

Narzucające się oskarżenie o drobnomieszczaństwo kulturalne nie znajduje tu dokładnego adresu wskutek niedostatecznego określenia klasowego wystawy. W interesie kulturalnej roboty Związków Zawodowych nie leży wszak, jak nam się wydaje, zacieranie klasowych różnic na platformie jakiegoś kulturalnego, amatorskiego solidaryzmu. Z tym wszystkim radzi byśmy omawianą imprezę Związków Zawodowych uznać za dyskusyjną.

Stanisław Mazurek — 36 lat, prac. Izby Skarbowej — referent. — Wiatrak — olej

Władysław Strzemiński

Amatorstwo plastyczne

Chcąc należycie zrozumieć znaczenie łódzkiej wystawy „amatorów" nie możemy jej oceniać tak, jak się ocenia każdą zwykłą wystawę. To znaczy, że nie możemy przejść po wystawie, obejrzeć obrazy, podzielić je na „przyjemne" i mniej „przyjemne", pochwalić niektóre i odpowiednio zganić inne. Byłaby to ocena pozbawiona perspektyw historycznych. Oglądając same tylko obrazy, przeoczylibyśmy te nowe siły społeczne, jakie powołały je do życia, przeoczylibyśmy cały wielki proces historyczny, którego skutki dadzą o sobie znać dopiero w dalszej przyszłości.

Istotną treścią tego procesu jest opanowywanie dziedzictwa kulturalnego — przez masy pracujące. Tym procesem jest wciągnięcie do twórczości artystycznej — jak najszerszego kręgu ludzi, dotychczas jej obcych, odciętych od niej przez ustrój społeczeństwa klasowego. Dopiero ruch arystyczny, powstały na znacznie szerszej bazie społecznej — zdolny jest tworzyć istotne wartości kulturalne o poziomie znacznie wyższym niż osiągnięcia obecne. Dlatego rzeczywistą miarą postępu artystycznego jest nie ten lub inny obraz tego lub innego z uznawanych obecnie artystów — lecz stopień opanowania dziedzictwa artystycznego przez klasę robotniczą. Dopiero na bazie opanowania **całej** dotychczasowej kultury artystycznej powstanie — jako jej dialektyczne zaprzeczenie — kultura nadchodzącego społeczeństwa socjalistycznego.

Jest to proces długi i skomplikowany, wiążący się z całokształtem przemian społecznych. Lecz na każdym odcinku drogi jego treść pozostaje niezmienna — uaktywnienie jak największego kręgu wciągniętych w twórczość artystyczną, a poprzez nich — rzeczywiste upowszechnienie sztuki wśród najszerszych mas widzów. Nie obecny poziom amatorskich dzieł sztuki decyduje o powodzeniu tego ruchu, lecz jego zasięg i umasowienie. Poziom będzie prostym następstwem umasowienia.

W okresie przedwojennym Polska przegrywała na polu kapitalizmu. Dysproporcje rozwojowe powiększały się stale. Z kraju niedorozwiniętego kapitalizmu, stawała się Polska — krajem kapitalizmu półkolonialnego W jednym z artykułów podałem cyfry stale malejącego udziału Polski w produkcji światowej. Dynamika wytwórcza uciekała z Polski i przenosiła się do kraju przodującego kapitalizmu. W parze z tym szedł malejący udział w aktywności artystycznej. Zniżał się zarówno poziom tworzonych dzieł sztuki, jak i zasięg ludzi, objętych zainteresowaniami artystycznymi. Jeśli na przełomie wieków XIX i XX walka pomiędzy szkołą Matejki a impresjonistami (Wyczółkowski, Stanisławski, Pankiewicz) odbyła się w drodze szerokiej dyskusji prasowej i wydawniczej i objęła szerokie kręgi inteligenckie — to przemiany późniejsze odbywały się przy wciąż malejącej liczbie zainteresowanych.

Następstwem tego był niesłychanie niski poziom artystów wyrosłych w atmosferze owych lat.

Dlatego, przy należytej opiece i organizacji, nie powinno nas dziwić, jeśli amatorzy-robotnicy osiągną poziom równający ich twórczość z twórczością zawodowych artystów, wykolejonych przez akademie sanacyjne. W istocie swej artyści ci są ofiarami jednej z najsmutniejszych epok historii Polski i osiągnięcie ich poziomu nie jest tak trudne.

Amator-artysta, żyjący w społeczeństwie kapitalistycznym, bywał zazwyczaj pozostawiony swoim własnym siłom. Obecnie państwo ludowe przychodzi mu z pomocą. Zadaniem ognisk kultury klasycznej jest wykształcenie amatora-plastyka na kulturalnego znawcę sztuki. Wznosząc jego poziom — oddziaływuje ognisko na to otoczenie, z jakim się styka dany amator. Poprzez amatora oddziaływuje się na jego środowisko.

Dlatego zadaniem Związków Zawodowych byłoby związanie amatorów z ogniskiem — umasowienie liczby osób korzystających z ogniska. Wyławianie ukrytych talentów, kształcenie amatorów, rozbudowa ogniska i założenie jego oddziałów przy poszczególnych związkach zawodowych i świetlicach fabrycznych — byłoby pierwszym krokiem.

Wśród wystawiających amatorów około 50 proc. stanowią pracownicy umysłowi. Na robotników fizycznych wypadłoby zatem około 50 proc., co jest liczbą niewspółmiernie małą. Powiększenie tej liczby wymagałoby przeprowadzenia odpowiedniej kampanii informacyjno-propagandowej.

Marian Niewiarowski

U ROBOTNIKÓW

(Notatki reportażysty)

Górnik

Foto A. Bogusz

Siedzimy sobie wszyscy razem na tarasie jednego z domów wypoczynkowych, który niedawno jeszcze należał do Związku Górników, obecnie — po nowej ustawie o wczasach — pełny jest robotników i urzędników ze wszystkich przemysłów kraju...

Zresztą krajobraz się nie zmienił. Zmienili się tylko ludzie, którzy go podziwiają.

Czytelnik niech nie oczekuje żadnego dramatycznego wydarzenia. Przykro mi, że go rozczaruję. Nic się nie zdarzyło. Jest piękny wieczór niedzielny i wczasowicze po wczorajszej zabawie są nieco niemrawi. Sąsiad mój, jeden z przodujących hutników śląskich, odzywa się w pewnej chwili do mnie:

— Czy wie pan, ile przed wojną zarabiał nasz dyrektor huty?

Zaczynam zgadywać. Przypominam sobie gdzieś przeczytane cyfry, ale hutnik uśmiecha się, gdy je cytuję. W moim przekonaniu są one tak wysokie, że jestem po chwili naprawdę zaintrygowany.

— Gdy Niemcy zbliżali się do naszej osady — ciągnie dalej hutnik — dyrektora już nie było. Uciekli z nim razem jego kochanka, kasjer, buchalter i niektórzy urzędnicy. Niemcy jeszcze nie weszli do miasta i wtedy — wie pan — ze znanym urzędnikiem, który szukał jakichś papierów poszedłem do pokoju dyrektora. Weszliśmy do wspaniałego gabinetu — nie będę panu opisywał, jak on wyglądał, szkoda słów i nie warto wspominać. Na podłodze walały się jakieś papiery, wyciągi, listy, kwity, odpisy rachunków, blankiety itp. Biurko było otwarte, ale papiery wewnątrz były porozrzucane w nieładzie. Kasa ogniotrwała zamknięta. I oto — pamiętam jak dziś — urzędnik podniósł jakiś papier, czytał go długo, a potem pokazał.

Po krótkiej przerwie hutnik ciągnął dalej:

— Tak, wtedy dowiedziałem się, ile naprawdę pobierał miesięcznie nasz dyrektor. Miał on pensję oficjalną i półoficjalną, prócz dywidend i tantiem. Dawało mu to miesięcznie 120.000 zł przedwojennych.

Huta o której mówiłem, należała do wielkiego koncernu kapitalistycznego pod firmą **„Wspólnota Interesów“ S.A.**

Leży przede mną smutna fotografia. Chłopak w berecie, w jasnej koszulce, bosy, siedzi i gra na harmonijce. Ze zdjęcia źle odbitego i niewyraźnego, spogląda para smutnych oczu.

To nie są oczy dziecka. Są to oczy przedwcześnie dojrzałego, steranego i zmęczonego życiem człowieka. Tekst obok zdjęcia jest entuzjastyczny. Ale gdy czytam go po raz drugi — wybaczam autorowi entuzjazm.

Dla niego i dla tamtych czasów — to, o czym pisał, było rzeczywiście rzeczą niesłychaną, wymagającą entuzjazmu...

„Przystępując — pisze ówczesny entuzjasta — do organizowania wysyłki dzieci robotniczych na kolonie letnie w roku bieżącym (1938) postawiliśmy sobie za zadanie rozbudowę całej akcji w głąb i wszerz“.

Rozbudowa w głąb i wszerz ma polegać na tym, że w roku 1938 planuje się rzecz niebywałą, niesłychaną: oto na kolonie letnie ma wyjechać aż... 1000 dzieci!...

Do **„Wspólnoty Interesów“**, potężnego, kapitalistycznego koncernu, należały na Śląsku największe huty. Prócz hut do koncernu należało 6 największych kopalni węgla i jedna kopalnia rudy. Prócz tego — warsztaty przetwórcze, liczne firmy filialne, jak „Fitznerowska Fabryka Śrub i Nitów“, wiele majątków ziemskich i lasów oraz różne biura, jak: sprzedaży, eksportu, pośrednictwa itp.

Powiedzcie więc, czy mogę podzielić entuzjazm autora, który zachłystuje się ilością dzieci robotniczych, wysłanych z wszystkich tych zakładów pracy na kolonie, jeżeli w roku 1948 byłem na jednej z kopalni Gliwickiego Zjednoczenia i stwierdziłem naocznie, jak wił się i kręcił przewodniczący rady zakładowej pod oskarżeniami żon górników: oskarżały go o to, że nie zabezpieczył więcej miejsc z tej kopalni dla dzieci, które miały wyjechać na kolonie letnie!

A wiecie ile — mimo to — wyjechało dzieci z tej jednej tylko kopalni w 1948 r.?

Tysiąc trzysta.

A oto parę dni temu, jakby na potwierdzenie wymowy tych cyfr, czytam w jednym z pism warszawskich:

„Ponad milion dzieci na wczasach“.

W roku 1946, gdy akcja wczasów nie była jeszcze należycie zorganizowana, przebywało na wczasach 750.000 dzieci, tj. 3,13 proc. ludności. Cyfry te stale rosną: rok 1947 — 784.207 dzieci, rok 1948 — 932.270 dzieci.

Oto, jaką wymowę mają cyfry!...

W pewnej chwili, gdy dotarłem do strony, dotyczącej indywidualnych wyjazdów robotników, zatrudnionych przez **„Wspólnotę Interesów“** na urlop, porównanie ze stanem obecnym wydało mi się tak kompromitujące dla przedwojennych stosunków, że zaniechałem po prostu dalszego czytania. Młody student Akademii Górniczej, który razem ze mną przeglądał to luksusowe wydawnictwo, nie mógł opanować zdumienia.

Co tak wprawiło w zdumienie przyszłego inżyniera?

Przede wszystkim fakt, że o tym nic nie wiedział, po drugie, że cyfry te tak bezwstydnie publikowano. Ale mój młody sąsiad miał w r. 1938 12 lat i przed wojną — oczywiście — nie spotkał się ze statystyką urlopów robotniczych. Natomiast po wojnie przywykł — jeśli chodzi o wczasy — do liczb idących w setki tysięcy. A tu, na str. 16, dowiaduje się, że w r. 1938 indywidualnie na urlop wyjechało poza miejsce swego zamieszkania dosłownie:

z huty Batory	— 1	osoba
z huty Florian	— 4	„
z huty Silesia	— 3	„
z huty Zgoda	— 5	„
z huty Pokój	— 3	„
z kopalni Katowice	— 3	„
z kopalni Łagiewniki	— 3	„
z kopalni Siemianowice	— 3	„
razem wyjechało	—25	osób

Z pozostałych kopalni i hut ani jeden robotnik nie spędził urlopu poza miejscem swego zamieszkania.

Natomiast z jednej tylko kopalni Katowice w roku 1948 wyjechało na urlop 380 robotników... Oto wymowa cyfr naszej i ich wspólnoty interesów.

* * *

Robotnik, który wstaje i powiada: — U nas na oddziale stale brak drzewa... — dopiero rozpoczął krytykę. Widać, że chce dalej mówić, że będzie mówić więcej. Ale dyrektor kopalni, który prowadzi naradę, natychmiast podrywa się od stołu i przerywa:

— Jakto? Co wy wygadujecie! To niemożliwe, żeby u nas brakowało drzewa!

I, zwracając się do siedzącego opodal inżyniera — proszę wyjaśnić!

Inżynier wstaje i zaczyna wyjaśniać. Robotnik usiadł i po jego minie widzę, że już nic więcej nie powie. Inżynier wyjaśnia cierpliwie, mówi szybko, składnie... Zwala winę na Centralę Dostaw Drzewnych, mówi o zamówieniach, specyfikacjach, terminach dostawy, transporcie, trudnościach obiektywnych itp. Że jest okres przejściowy, który minie i że w krótkim czasie drzewa będziemy mieli dosyć. Robotnik jest wyraźnie zniecierpliwiony, widzę, że chciałby coś jeszcze dodać... Ale nic nie mówi.

Inżynier skończył, dyrektor dziękuje, sprawa załatwiona, dyskusja zakończona. Przechodzimy do punktu następnego...

Wtedy zabiera głos delegat Związku Zawodowego z Katowic:

— No, dobrze — mówi — ale co na to wasz „materiałowiec“, wasz kierownik zaopatrzenia? To przecież on powinien dbać o to?

Dyrektor nie pojmuje interwencji delegata Związku. O co chodzi? Czy wyjaśnienie inżyniera nie wystarczyło? Po co jeszcze tę sprawę wałkować? Przyjdzie drzewo — oddział dostanie i sprawa załatwiona.

Ale sprawa nie jest załatwiona. Kierownik zaopatrzenia wyjaśnia, cedząc po woli słowa. Owszem, drzewo, o którym wspominał „ten górnik“, jest, ale nie można nadążyć z przewożeniem na dół, do szybu. Zdolność przepustowa klatki wyciągowej jest za mała...

Lekka konsternacja. Dyrektor, chcąc zatrzeć wrażenie sprzeczności pomiędzy relacją kierownika zaopatrzenia a wyjaśnieniami inżyniera materiałowego — wstaje i kieruje wzrok na salę:

— Jak widzimy — mówi donośnie, głosem, który nie znosi sprzeciwu — sprawa drzewa została wyjaśniona. Należy zbadać zdolność przepustową klatki i zastanowić się nad jej zwiększeniem. — Panie kolego — zwraca się do siedzącego przy stole kierownika ruchu — proszę zanotować. Omówimy to na następnym zebraniu dyrekcji.

I znowu do audytorium:

— Sprawę uważam za wyczerpaną. Przechodzimy do punktu następnego, do...

Ale sprawa nie jest wyczerpana. Wstaje drugi robotnik, powiada:

— Panie dyrektorze, na poprzednim zebraniu mówiło się też o drzewie i też postanowiono, że się będzie o tym mówiło na następnym zebraniu. Dzisiaj się znowu o tym mówi i znowu się powiada, że odłoży się do następnego zebrania. Trzeba to jakoś raz załatwić, a nie odkładać. A co do klatki, to można by było przewozić nie tylko w nocy, ale i w dzień.

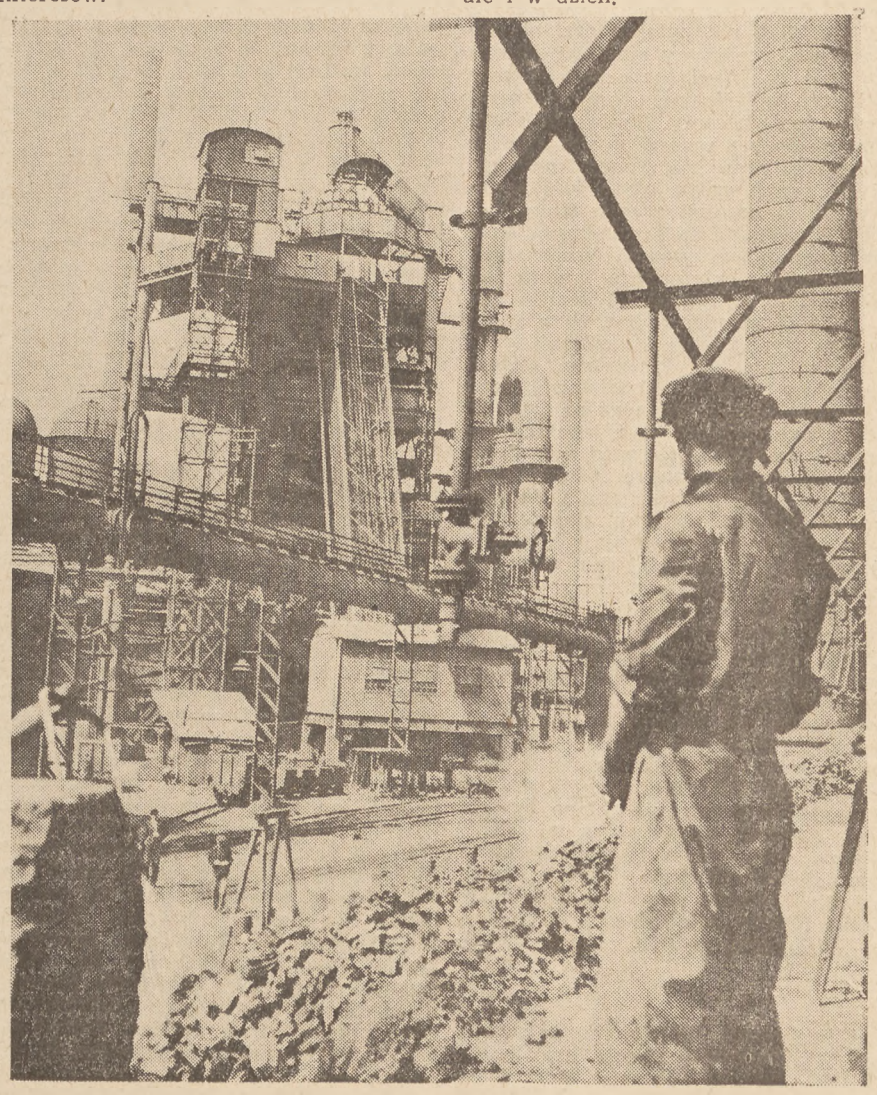

Huta Pokój (Nowy Bytom)

Dyrektor znowu podrywa się: górnik S. z oddziału czwartego wnosi o szybsze rozpatrzenie sprawy braku drzewa. Sprawę uważam za dostatecznie wyczerpaną. Przechodzimy do punktu następnego, do sprawy transportu. Kto chce zabrać głos?

Na sali cisza. Tylko delegat Związku Zawodowego notuje... I ja notuję: Są jeszcze u nas i tacy kierownicy przedsiębiorstw, choć olbrzymia większość docenia już wartość opinii robotnika o pracy.

Prawdziwa narada zaczęła się dopiero po wyjściu dyrektora i zawiadowcy kopalni, którzy — po wyczerpaniu porządku dziennego — w błogim poczuciu dobrze spełnionego obowiązku odjechali do domu.

Robotnicy zgromadzili się wokoło delegata Związku, sekretarza koła partyjnego i czołowych przodowników pracy.

* * *

Mówili o tym, że dyrektor nie daje dojść do głosu, że nie pozwala niczego krytykować, że traktuje naradę wytwórczą jako zło konieczne, które trzeba „odwalić“, że nie umie i nie chce wysłuchiwać tego, o czym mówią robotnicy, że nie liczy się z nimi. I że na innych — na wszystkich prawie — kopalniach na naradzie wytwórczej zabiera głos każdy, kto chce i że nikt tam nie ma obawy, że za to, co powie o administracji czy pracy nadzoru, będzie potem szykanowany...

I że między innymi powinno się na naradach wytwórczych omawiać doświadczenia przodowników pracy na kopalni. Powinni oni dzielić się swoimi metodami lepszej pracy ze wszystkimi innymi górnikami, wyjaśnić jak można pracować inaczej, lepiej, wydajniej...

Coraz rzadziej zdarza mi się ostatnio przebywać na podobnych naradach wytwórczych, więcej — bardzo rzadko, ale byłoby ślepotą twierdzić, że odgórny stosunek, który pewna część naszej administracji gospodarczej ma do robotników, został już wszędzie zlikwidowany. W rozmowach, które prowadzę stale z kierownictwem i wyższym nadzorem kopalnianym, spotykam się z głęboko zakorzenionym poglądem, jakoby robotnik, czy nawet dozór niższy czy średni, nie mógł nic wnieść nowego do organizacji pracy na kopalni. Toteż nie ma chyba bardziej typowego zjawiska na kopalni, jak niespodzianka, którą sprawia wyższemu dozorowi i kierownictwu przodownik, zmieniający sam dotychczasowy sposób pracy, jej przestarzałą, uświęconą przepisami organizację.

Bardzo poważną rolę w przełamaniu dotychczasowego sposobu myślenia, w likwidacji „przeżytków“, odziedziczonych po kapitaliźmie, odegrały koła partyjne i związki zawodowe. Ilu burzliwych zebrań, ilu namiętnych, a często dramatycznych narad byłem świadkiem!

Dozór był zaskoczony tą inicjatywą robotników, nie znał jej przed wojną, nie rozumiał znaczenia, uważał każde wystąpienie robotnika za osobistą napaść! Zmieniły się bowiem role w kopalni: o ile przed wojną dozór naganiał robotników do pracy (zresztą należało to do jego obowiązków), tak teraz robotnicy dyktują tempo pracy dozoru, który musi nadążyć z dostawą drzewa, z zabezpieczeniem na czas materiałów, z uruchomieniem na czas transportu, z dostawą wózków itp. W zwiększonej wydajności robotnicy ujrzeli nagle możliwość zwiększonego zarobku. Niedostarczony wózek — to przecież strata dla nich!

Sztygarom trudno było się przyzwyczaić. Widziałem takiego sztygara na jednej kopalni. Mówili mi robotnicy, jak i co robił przed wojną: kręcił się po chodnikach, krzyczał, łajał, groził, wyzywał... Teraz zajęty jest tylko dwiema rzeczami: musi dostarczyć wózki na czas, bo węgiel leży niewywieziony, dostarczyć drzewa, bo górnicy czekają z obudową i nie mogą robić.

Górnik, zajęty na dole przy pracy — widzi przed sobą nie tylko swoją ścianę i swój młot. Z jego pracą łączą się czynności wielu innych robotników, pracowników pomocniczych, techników, nadzorujących. W chwili przerwy czy awarii potrafi on najlepiej dostrzec, kto był bezpośrednim winowajcą, dlaczego nie ma wózków i dlaczego nie ma drzewa. Gdy narzędzie pracy nie jest dobrze wykorzystywane — wie, dlaczego tak się dzieje i jak temu zaradzić. I jeszcze jedno: na dole najłatwiej się zorientować, gdzie tkwi przyczyna złej jakości produktów, skąd się bierze w węglu za dużo miału, dlaczego dostaje się kamień do urobku, wywiezionego na wierzch?

O tym wszystkim mówi górnik i opowiada na naradzie wytwórczej, wskazuje na winowajców, żąda wyjaśnień, naprawy, dyskutuje nad sposobami lepszej organizacji pracy, wysuwa projekty, omawia je, sam też podlega — jeśli zachodzi potrzeba — krytyce ze strony współtowarzyszy pracy.

I tak na naradach wytwórczych prowadzonych najczęściej na dole po dniówce, polami i zmianami, na ogólnych naradach wytwórczych z udziałem załogi kopalni, na ścisłych naradach technicznych, które decydują o przebudowie produkcji na kopalni, w walce o większe wydobycie — polski górnik uczy się nowego, socjalistycznego stosunku do pracy.

Józef Choczyński

NA DROGACH TEATRU II*)

W latach 80-tych XIX w. teatr na wsi galicyjskiej nie był już zjawiskiem odosobnionym. W okresie kolędowym księża i organiści urządzali przedstawienia jasełkowe. Cieszyły się one wielkim powodzeniem. „Chata" w numerze z 24 lipca 1886 donosiła, że chór włościan z Bierzanowa popisywał się w ogrodzie krakowskim wobec 200 słuchaczy, którzy zdumiewali się nad wykonaniem pieśni przez włościan. Ze scen miejskich trafiły też na wieś sztuki Anczyca. W „Przyjacielu Ludu" z r. 1896 jest wzmianka, że w powiecie tarnowskim, we wsi Janowicach włościanie z Janowic i Wróblowic odegrali sztukę Anczyca **„Kościuszko pod Racławicami"**. Kto był w teatrze na wystawieniu tej sztuki, potrafi ocenić, jaki nakład pracy trzeba włożyć w ten dramat, aby go wystawić na scenie, zwłaszcza wiejskiej.

Jedyna to, dotąd najświetniejsza rzecz teatralna, która w dużej mierze przyczyniła się do rozbudzenia uczuć patriotycznych wśród rzesz wiejskiego i miejskiego ludu roboczego. Gdy po raz pierwszy w r. 1880 ten obraz historyczno-ludowy, „Kościuszko pod Racławicami", wystawiono w Krakowie, płacz i łkanie rozległy się na sali teatralnej. Na przedstawienia tej sztuki zjeżdżała publiczność z dalekich stron, a nawet przekradała się przez granicę z Królestwa. W liście do Teofila Lenartowicza opisuje Anczyc wrażenie, jakie sztuka ta wywierała na chłopach: „Pewnego razu kilkudziesięciu chłopów z okolicy zwieziono i parter rumienił się chłopskimi czapkami „jakby nasiał maku" — to trudno opisać wrażenie, jakie na nich wywarła sztuka. Całość ich nie ogarnęła, ale Kościuszko i Bartosz — za każdym wejściem walili im brawo i w głos uwagi robili. Jakiś zaś gospodarz o trzy mile przyjechał z żoną, a gdy mu powiedziano, że już biletów nie ma, zawołał: „O panie, mnie tu nie idzie o pieniądze — ja dam i po papierku **) od osoby, ale musiwa widzieć Bartosa, bo już o nim takie cuda opowiadają we wsi, że nie ruszę stąd, aż mnie puścicie". Wszystko to działo się w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Takim powodzeniem cieszył się utwór sceniczny Anczyca, którego rodzice byli aktorami warszawskiego teatru „Rozmaitości", a dziad, von Anschutz, oficerem wojsk saskich, on zaś sam uczestnikiem powstania krakowskiego w r. 1846 i owej tragicznej procesji podgórskiej, zorganizowanej przez Edwarda Dembowskiego, który w niej padł. Najczęściej ze sztuk Anczyca grano na scenach wiejskich: „Flisaków", „Łobzowian", „Chłopów arystokratów" i „Błażka opętanego". Nie można powiedzieć, by sztuki te zachwycały chłopów, zwłaszcza poważniejszych. „Mazurowanie" i przesadne szydzenie z chłopów podobało się różnym wiejskim „elegantom", czy miejskim kucharkom, które wyszedłszy ze wsi, „cywilizowały się" pośpiesznie i swą wyższość manifestowały w wyszydzaniu swoich najbliższych ze wsi. Gdy jeszcze na scenie pojawiły się **sztuki o tendencji reakcyjno-politycznej**, użyte przez wielkoziemiańskich polityków do ośmieszania i zwalczania ruchu ludowego i socjalistycznego, same teatry zapracowały na to, aby stać się przedmiotem ataku ze strony politycznie uświadomionej rzeszy chłopskiej i robotniczej.

* * *

W wyborach do sejmu przeprowadzonych w r. 1897 11 polskich posłów włościańskich uzyskało mandaty poselskie. Pięciu z nich kandydowało na program „katolicko-ludowy" z p. Kramarczykiem na czele, sześciu zaś zdobyło mandaty pod sztandarem świeżo założonego stronnictwa ludowego. Nie sprawa teatrów leżała na sercu tym nowoobranym przedstawicielom chłopskim. Po ciężkiej walce wyborczej przyszli do sejmu ze wsi, które tonęły w mrokach analfabetyzmu. Tysiące gmin nie miały szkół, tysiące szkół mieściło się w budynkach nieodpowiadających temu przeznaczeniu, nauczycielstwo żyło w nędzy. Na tym tle troska o teatry, tę gorszycielską „pańską zabawkę", służącą rozrywce nielicznej grupie inteligencji, czy też „obywatelstwu" w pobliżu Krakowa i Lwowa mieszkającemu, wydawała się posłom włościańskim czymś tak niezwykłym, niestosownym, wprost potwornym, że już w pierwszej dyskusji budżetowej wadowicki poseł Styła ***) w mocnych słowach podniósł głos protestu: „Jest krzywdą o pomstę do Boga wołającą, aby lud krwawe grosze na takie — można powiedzieć — wybryki płacił. Otóż ja stawiam wniosek, ażeby ta kwota na subwencje dla teatrów była wycofana. **Kto korzysta z teatru, niechaj płaci**, a kto nie, płacić nie powinien". Poseł Średniawski ****) nie zaprzecza, że teatr wywiera cywilizacyjny wpływ na ludność, ale sądzi, że służy więcej przyjemności niż cywilizacji, dlatego, gdy odmawiamy sobie rzeczy potrzebnych, aby nie zwichnąć równowagi budżetowej, to więcej powinniśmy uważać na oszczędność przy teatrze. Teatr wspierać powinni ludzie zamożni, drogą dobrowolnych składek, jak się to w Czechach praktykuje, gdyż pieniądze, którymi sejm dysponuje, są nieraz ściągane od ludzi, którzy na sól nie mają.

* * *

W r. 1897 w wyborach do parlamentu wybrany został posłem ziemi krakowskiej **Ignacy Daszyński**. Tak sam wybór, jak i liczba głosów (22.000), oddanych na Daszyńskiego, przeraziły reakcję krakowską. Szukano środków na odtrutkę i znaleziono je w teatrze. Znalazł się też w Krakowie prokurator **Smolarz-Kalitowski**, który napisał sztukę pt. **„Kusiciele ludu"**. C. k. radca dworu i starosta krakowski, Laskowski, patronował wystawieniu tej sztuki w teatrze w parku krakowskim. Na premierę zaprosił biurokrację z krakowskich urzędów, która miała nielada sensację, gdyż w tytułowej roli „kusiciela ludu" wystąpił aktor w masce znienawidzonego Daszyńskiego. Pierwsze przedstawienie minęło spokojnie. Na drugie przedstawienie publiczność stawiła się jeszcze liczniej. Na galerii znalazło się około 200 robotników, a między nimi był także Daszyński. Wspomina on w swych „Pamiętnikach", jak aktor uosabiający Daszyńskiego w pierwszym akcie grał rolę łotra, namawiającego chłopów do złodziejstw i podpaleń. W akcie drugim, gdy łotr ten wyprawiał chłopów na kradzież i podpalenie celem zasilenia kasy partyjnej, na sali powstał ryk gniewu i oburzenia. Demonstracja podziałała na publiczność, która chyłkiem uciekła z teatru. Przedstawienie zostało zerwane. Hofrat Laskowski chciał sztukę powtórzyć, lecz zmuszony był zaniechać tego, gdy taktowny komendant korpusu, Albori, odmówił teatrowi orkiestry wojskowej. Od tego czasu sztuki tej nie odważono się wprowadzać w Krakowie na scenę, za to popisywano się nią jeszcze tu i ówdzie w miasteczkach. Prokurator Smolarz-Kalitowski awansował, koledzy zaś jego pownosili akty oskarżenia przeciw demonstrującym robotnikom, którzy oberwali po parę miesięcy więzienia. Daszyński, jako poseł nietykalny, na razie pozostawiony został w spokoju, lecz w r. 1900, po rozwiązaniu rady państwa, również i jego zasądzono na 4 tygodnie aresztu, który solidnie „u św. Michała" odsiedział.

* * *

Gdy sztuka „Kusiciele ludu" prowokowała socjalistyczny ruch, to na chłopski ruch polityczny uderzono z teatru krakowskiego sztuką **„Chłopska polityka"**. Kto i w jakim celu paszkwil ten wprowadził na scenę, opowiedział w sejmie poseł ziemi krakowskiej **Wójcik** *) w dniu 28 marca 1899 r., w rozprawie nad sprawą subwencji dla teatrów.

„Wysoki Sejmie! Pierwszy raz zabieram głos w rozprawie budżetowej przy rubryce o teatrach. Wychodzę z tego założenia, że teatr powinien mieć za zadanie kształcić co piękne i szlachetne, że jednak tak nie jest, będę się starał wykazać. Obecnie już do tego doszło, że dla zabicia ruchu ludowego, dla utrzymania stanu posiadania, używa się wszelkich środków, nie pytając czy są one uczciwe czy nie, począwszy od ludzi, którzy mają pretensję do inteligencji, skończywszy na indywiduach wstrętnych, które w danym razie wzywa się do pomocy. Na domiar złego, gdy już opanowało się wszystko, aby zgnieść ruch ludowy, ten ruch, który dąży legalnymi środkami do swych praw, użyto jeszcze do tego w ostatnich czasach rzeczy teatralnej. Przed kilku tygodniami na **scenie teatru krakowskiego subwencjonowanego przez sejm, wystawiono sztukę nieznanego autora po prostu nikczemną, sztukę pt. „Chłopska polityka"**. Pokazał w niej autor, że nie ma najmniejszego wyobrażenia i znajomości ludu, jego życia i potrzeb. Przedstawił chłopa jako karykaturę, śmiał przedstawić tego chłopa z szyderstwem i wystawić na pośmiewisko nędzę ludu wiejskiego i jego dobijanie do praw i wydobycia się spod nieproszonej opieki, jako zbydlęconego, zdradliwego, czyhającego na cudze mienie i cnotę. Nieznany autor „Chłopskiej polityki" przedstawił włościanina jako sojusznika Żyda i karczmy, wójt zaś tak zwany „starościński" wspólnie z żandarmem to są ludzie porządni i moralni **(P. Bojko: „Medal mu dają")**. Ci, co chodzą do teatru, gdy widzą, że biednego polskiego chłopa szarpie się publicznie, odsądza go od czci i wiary, jeżeli ci nie zaprotestowali z oburzeniem na takie poniewieranie ludu i zrównanie go niejako ze zbójcą, to oni nie mają, nie mówię miłości, ale najmniejszej sympatii dla ludu **(brawa z ław ludowych)**. Jeżeli nikt nie oburzył się na taką sztukę, która porównuje chłopa prawie do dzikiego zwierza, co się rzuca na wszystko, to powiadam, że **takie społeczeństwo próchnieje (głosy: tak jest! bardzo słusznie)** a przyzna mi każdy, że **na próchnie tylko grzyby rosną. (Głosy: „tak będzie!")**. Bezimienny autor „Chłopskiej polityki" wychodził w niej z najbardziej lichych motywów i pobudek. Nie znając ludu z życia, czerpał o nim wiadomości tylko z owych obrzydliwych ujadań dziennikarstwa konserwatywnego, które w każdej opozycji ludowej widzi pychę, zbrodnię, bunt i głupotę chłopa. Ten punkt wyjścia nadaje sztuce cechę nienawiści partyjnej, tym głębszej, że ma ona być zwróconą przeciw bezbronnej warstwie a popartą pieniędzmi podatkowymi i całym aparatem oficjalnej przychylnej i łaskawej krytyki dziennikarskiej, **(P. Bernadzikowski: „niestety!")**, która zwraca się przeciw nam. O ile jednak owemu nieznanemu autorowi, jako człowiekowi prywatnemu, wolno być głupim, o tyle wydział krajowy nagradzając podobną sztukę i polecając ją do grania na subwencjonowanych scenach narodowych, zasługuje na naganę, a każdy poseł bez względu na to, do jakiego stronnictwa politycznego należy, przyznać to powinien **(brawa z ław ludowców)**. Jest to bowiem bezczeszczeniem sceny narodowej, sztuką nagrodzoną na konkursie przez wydział krajowy z krwawicy podatkowej **(Głosy: „hańba!")**, wprowadzoną na scenę pod osłoną policji **(P. Bojko: „Inaczej nie można było")**. Źle się dzieje, jeżeli się nadużywa subwencji do celów politycznych pewnego stronnictwa, które nadużywa swej siły. Kilka dni temu p. hr Dzieduszycki i inni panowie w ogólnej rozprawie budżetowej powiedzieli, że oszczędzać musimy i dali w tym kierunku wskazówki wydziałowi krajowemu, jednak nie jest oszczędnością nagradzanie sztuki o tak lichych motywach, jaką jest „Chłopska polityka". Nagrodzono na tym konkursie jakiegoś bezimiennego małodusznego i lichego pisarza **(P. Bernadzikowski: „Smolarza" *))** za pieniądze podatkowe, a więc za nasz grosz chłopski, za to, że tenże sponiewierał i zaplwał lud polski. Jeżeli się nagradza sztuki, to trzeba być sprawiedliwym a nie stronniczym, należałoby zatem nagradzać i wystawić w przeciwstawieniu **„Pańską politykę" (brawa)** i w tej „Pańskiej polityce" przedstawić, jak panowie rozjeżdżają się brykami podczas wyborów **(brawa z ław ludowych)** i rozpajają biedny naród i wtykają 10 reńskich, które wyborcy przy wyborach kładą na stół komisji. **(P. Okuniewski: „Tak bywało, tylko starosta nie chce tego widzieć!")**. Wartoby w jednym akcie przedstawić, jak się grozi dłużnikom kas zaliczkowych i innych, że jak nie będą głosować na tego i tego kandydata, to muszą zaraz pożyczki zwrócić. Wartoby przedstawić chłopów, ale starościńskich, którzy chorują na panów, wartoby przedstawić takich wyborców, którzy na wybory czekają jak na zbawienie, aby się najeść, napić i do kieszeni schować. Wartoby przedstawić liczne szynki, a w nich agitatorów czyhających na wyborców jak pająk na muchy. Należałoby w innym akcie przedstawić, jak to komisarze przeprowadzają wybory pod bagnetami i jak funkcjonują komisje wyborcze. Wartoby publiczności pokazać, jak się wtrąca wyborców do więzienia. Taka sztuka pod tytułem „Pańska polityka" miałaby wiele aktów, naturalnie bez dramatów by się nie obeszło, a jako zakończenie więzienie i prześladowanie przez całe lata. Sztuka spełniałaby zadanie, gdyż obie strony czerpałyby z niej obrok duchowy. Ale gdy się lży i bezcześci tylko polityków bezradnych, przeciw którym wszystko się sprzysięgło, to jest to nieszlachetnie. Sztuka jest chybiona, polityka blasku jej nie dodała, a do tego prowokuje. Mimo, że w całości nie można potępiać teatru i ja z tego ciasnego stanowiska nie wychodzę, ale dlatego, że nagrodzono tak nędzną sztukę i wystawiono na scenie krakowskiej, przeciw pozycji, która wymaga 8000 reńskich na teatr krakowski głosować będę. Ktoś by powiedział: „no! włościanie od czasu do czasu korzystają z teatru". Najpewniej mogę twierdzić, że na milion włościan nie więcej jak jeden korzysta z teatru. Większa liczba ludu miałaby sposobność bywać w teatrze podczas różnych uroczystości narodowych. Gdy jednak u nas w kraju, a szczególnie w Krakowie, jest tak zwana **„straż pożarna", co gasi ducha narodowego**, przyjdzie do tego, że i te obchody narodowe odbywać się będą rzadziej a przez to i włościanin nie będzie miał sposobności podczas tych obchodów bywać w teatrze".

Kilka godzin przed mową posła Wójcika sejm odrzucił wniosek posła Styły o **wyasygnowanie znaczniejszej sumy pieniężnej na budownictwo wiejskich szkół**. Sprawozdawca komisyjny orzekł, że **brak na ten cel funduszów.**

* * *

Przeprowadzone w r. 1901 ponowne wybory zmieniły gruntownie skład reprezentacji ludowej w sejmie. Z 11 posłów włościańskich przecisnęło się przez sito wyborcze zaledwie siedmiu. Poseł Kramarczyk dzięki walce z teatrami ponownie został wybrany. **Bojko** utracony w rodzinnym powiecie dąbrowskim uzyskał mandat poselski od mieszczaństwa lwowskiego. Za to weszło do sejmu kilku inteligentów, pracujących politycznie na wsi pod różnymi firmami. A więc uzyskał mandat ks. **Stojałowski** i jego poplecznik, inż. **Skołyszewski**. Również **Stapiński** stanął na czele czteroosobowego klubu ludowców. Dwaj księża, **Wilczkiewicz i Wesoliński** reprezentowali partie „katolicko-narodową". ks. **Szponder**, susnendowany przez kardynała Puzyne, prowadzony był w ewidencji „dzikich". Pod ostrza krytyki tych posłów dostali się na dwóch posiedzeniach sejmowych, 31 grudnia 1903 r. i 10 listopada 1904 r., dyrektorzy teatrów: krakowskiego **Kotarbiński** i lwowskiego **Pawlikowski**. Nastręczyli sami ku temu sposobność, wystąpili bowiem z petycjami o przyznanie im większych subwencji. Komisja budżetowa załatwiła petycje pozytywnie, a nad to jeszcze „w uznaniu usiłowań i niepospolitych zasług" zaprojektowała przyznanie specjalnych datków Kotarbińskiemu w kwocie 4000 koron a Pawlikowskiemu 8000 koron. To dało powód do dużej dyskusji, w której wypowiedzieli się reprezentanci wszystkich stronnictw ludowych.

Poseł **Stapiński** oburzał się, że sejm **kraju**, którego nędza jest sławna, który nie może podołać najprymitywniejszym zobowiązaniom kulturalnym, równocześnie na **rzeczy zbytkowne, jak opera**, pozwala sobie łożyć znaczne sumy pieniężne. Byłoby właściwsze postarać się **konkurować z Europą nie operą, ale szkolnictwem**, mamy bowiem 50 proc. analfabetów i tysiąc gmin bez szkół, ludność zaś żyje z pieniędzy zarobionych w innych krajach. **Lud rozumie doniosłość teartu i bez pomocy kraju inscenizuje sobie te teatry.** Ale kto uczęszcza na operę? Ceny są tak wysokie, że tylko znikomy procent ludności z niej korzysta. Sprawozdania sejmowe zajmują się gloryfikacją osób, a przecież nie uchodzi, ażeby sejm miał bić czołem przed Kotarbińskim i Pawlikowskim, zwłaszcza, że sprawozdania stoją w odwrotnym stosunku do rzeczywistości. Kto chce widzieć, jak wygląda teatr zwyrodniałych Francuzów, albo jak wolno bawić się szczęśliwym Niemcom, to mu wolno, ale naszym pierwszym obowiązkiem jest pielęgnować taki **teatr, któryby wśród społeczeństwa szerzył pojęcie wiary, nadziei i siły, a nie prowadził do moralnego upadku.**

Na temat **literatury scenicznej** sporo cennych uwag wypowiedział poseł ks. **Stojałowski**. Przede wszystkim zajął się ustaleniem definicji teatru ludowego. **Takim teatrem we właściwym znaczeniu** — jego zdaniem — **nazywa się ten teatr, który już coraz częściej zawiązuje się po rozmaitych związkach i kółkach rolniczych.** Są to grona amatorskie z włościan i robotników, które sztuki patriotyczne chętnie grają. Ruch ten zasługiwałby na poparcie sejmu, gdyż te zespoły amatorskie walczą z brakami, a osobliwie brak im kostiumów. Powinny być ustanawiane **nagrody konkursowe**, uwzględniające ludowe utwory. Na przykładzie nagrodzonej na konkursie sztuki pt. **„Jasiek sierota"** wykazał, jakich nie należy stwarzać typów scenicznych. W „Jaśku sierocie" chłop przedstawiony jest w taki sposób, że ten, co to pisał, chyba chłopa nie widział: chłop anioł, bez żadnej namiętności, odstępujący z hojnością grunt swój sąsiadowi, co się w życiu nie zdarza. Konieczny w sztuce węzeł dramatyczny — romans Jaśka i Zośki przedstawiony po miejsku w sposobie mówienia i flirtowania. Autor włożył im w usta rzeczy, o których chłop nigdy nawet nie myśli. **Widocznie autorowie sztuk ludowych pisać nie umieją, a ci co je oceniają, oceniać nie powinni.** Przed wystawieniem tej sztuki trzeba było przemienić sceny, zrobić je naturalnymi, tak jak między ludem bywa. Bo i chłop się kocha, tylko uczciwiej, czasem się zagalopuje, ale romans nie odbywa się tak, jak w sferach inteligenckich. Sztuk ludowych brak, lecz ci, co je piszą, **niech nie myślą, że dla ludu trzeba tak pisać, jakby książeczki dla dzieci**, bo to dla dojrzałego i trochę oświeconego włościanina nie jest stosowne. Sztuki Anczyca nazywa ks. Stojałowski przestarzałymi, a osobliwie używanie języka gminnego, to „mazurowanie" wcale się chłopu nie podoba i do kultury nie prowadzi. Chłop uważa to za szydzenie z niego. **On się nałamuje, aby nie „mazurował", a tu mu dają na scenie rzecz, z którą on walczy.**

Takie projekty rozwinął ks. Stojałowski przed sejmem. Narodziny teatru ludowego we wsiach i miasteczkach galicyjskich miały takie początki, jak to nakreślił ks. Stojałowski. Budzicielem myśli narodowej przez tworzenie zespołów teatralnych wiejskich, była głównie młodzież, pochodząca ze wsi, a ucząca się w szkołach średnich, seminariach, gimnazjach. W miesiącach letnich wakacji łączyła ona wypoczynek z pożyteczną pracą oświatową. Potrzebę wspierania przez kraj improwizowanych teatrów wiejskich przez ułatwienie im pozyskania potrzebnych kostiumów, przez dostarczenie odpowiednich sztuk scenicznych, przez udzielanie fachowych dorad, jak urządzać sceny, dekoracje, jak wykonać charakteryzacje, jak reżyserować, uznawali wszyscy, którzy spotykali się z tymi trudnościami przy urządzaniu przedstawień. We Lwowie powstał **„Związek teatrów i chórów włościańskich"** zrzeszający rozrzucone po kraju wiejskie amatorskie kółka teatralne, **który podjął wydawnictwo cennego „Poradnika dla teatrów i chórów włościańskich"**. Dopomagało w tej pracy nauczycielstwo, opiekując się zespołami i lokując je w szkołach. Coraz częściej pojawiały się na scenach wiejskich utwory treści patriotycznej jak „Kościuszko pod Racławicami", „Dziesiąty pawilon", „Tamten", „Wóz Drzymały", „Zmartwychwstanie" (autor nauczyciel Lorenc), poprawiły się też Jasełka, gdy **Rydel i Żegadłowicz** wydali je w opracowaniu artystycznym. Dzięki konkursom i nagrodom zwiększyła się ilość sztuk scenicznych.

Na przełomie wieku XIX i XX rodził się w południowej Polsce wiejski teatr ludowy. Polityczne zwycięstwo Stronnictwa Ludowego w r. 1907 i 1908 dało temu teatrowi ochronę przed szykanami władz, a nad to spowodowało **wydatniejsze subwencjonowanie „Związku teatrów i chórów włościańskich"**.

---

*) Patrz cz. I: „Teatr w Galicji", „Wieś" nr 11.

**) „Papierek" — popularna nazwa austriackiego złotego reńskiego.

***) Antoni Styła, włościanin, był posłem powiatu wadowickiego w latach 1895—1901 i 1908—1913.

****) Andrzej Średniawski, włościanin z powiatu myślenickiego był posłem do sejmu w latach 1895—1901 i do rady państwa w latach 1907—1918. W Polsce był posłem i senatorem.

*) Poseł Franciszek Wójcik reprezentował w sejmie i parlamencie ziemię krakowską w latach 1895—1911. W gabinecie Moraczewskiego był z ramienia „Lewicy PSL" ministrem i również posłem do sejmu ustawodawczego.

*) Poseł dr Bernadzikowski ujawnił autora: był nim ten sam prokurator Smolarz-Kalitowski, który popisał się „Kusisielami ludu".

V. Leduc

AMERYKAŃSKI „MEIN KAMPF" *) tłum. E. M.

Hitler nie ukrywał swoich dążeń do uzyskania hegemonii nad światem. Jego „Mein Kampf" był wielkim ostrzeżeniem nie tylko dla narodu niemieckiego, ale również dla całej ludzkości. W okresie gdy pisał tę książkę, był on jedynie mało znanym agitatorem. Okoliczność ta nie jest jednak usprawiedliwieniem dla tych rządów, które ze zbrodniczą lekkomyślnością nie dostrzegały pouczeń, jakie można było wyciągnąć z „Mein Kampf", zanim wydarzenia, punkt po punkcie, nie potwierdziły intencji jego autora.

„Demokraci" — Marshall i Dulles

Istnieje jednak również „Mein Kampf" amerykański. Autorem tej książki o bardzo charakterystycznym tytule „O panowanie nad światem" jest James Burnham, którego pierwsza książka, tłumaczona na język francuski („Era organizatorów") uzyskała pochwalną przedmowę Leona Bluma. Ciekawe jest, że podczas gdy wokół „Ery organizatorów" powstał wielki szum, trwający po dziś dzień, druga książka Burnhama została przyjęta przez chwalców pierwszej zaczerpnięciem wody w usta.

Zauważmy, że wydawnictwo, które wydało książkę „O panowanie nad światem", a które nazywa się rozkosznie „Liberté de l'Esprit" („Wolność ducha") i jest prowadzone przez Arona, wybitnego działacza degaullistowskiego R. P. F., parę miesięcy przedtem opublikowało pracę pana Lucien Morice „W kierunku imperium światowego", zmierzającą do podobnych wniosków, jakie spotykamy w książce p. Burnhama. Książka p. Morice'a również nie została dostrzeżona. Była widocznie przeznaczona dla „elity", a popularyzowanie jej nie było chwilowo wskazane (ukazała się w drugim kwartale 1947 roku, a więc zaledwie w dwa lata po zakończeniu wojny!).

Wydarzenia ostatnich miesięcy nadały jednak znacznie większy, a nieprzewidziany zasięg pracom teoretyków wydawnictwa „Wolność ducha". Książki p. Burnhama „and Co" postawiły doktrynę Trumana i plan Marshalla w przeraźliwym świetle. W chwili, gdy od Bluma do de Gaulle'a słyszy się tylko jeden głos wychwalający amerykańską wspaniałomyślność, pod szyldem „Wolności ducha" i dzięki staraniom władz R. P. F. zostały nam pokazane prawdziwe zamiary naszych „dobroczyńców".

Wejrzyjmy najpierw w książkę Jamesa Burnhama **„O panowanie nad światem".**

„Kierownicy gospodarki amerykańskiej popycha i przez potencjał swoich fabryk, nastawionych na produkcję masową, chętnie widzieliby świat jako pole oczekujące na deszcz towarów, maszyn i pieniędzy amerykańskich. Czują się oni na siłach dostarczyć całemu światu wszystkiego bez pomocy tych bezwartościowych partaczy, jakimi są Anglicy, Niemcy czy Japończycy. Marzą oni o planecie, która byłaby przestronnym rynkiem zbytu produktów i maszyn amerykańskich oraz źródłem upragnionych surowców. **Jakim byłoby to błogosławieństwem dla ludzkości, gdyby się tak właśnie stało!"**

Ale penetracja handlowa nie wystarcza. P. James Burnham pisze:

„W miarę jak potęga Stanów Zjednoczonych rozciąga się aż po Brazylię, po Afrykę, Chiny, Europę i Bliski Wschód staje się koniecznym jej skonkretyzowanie, upersonifikowanie przez ludzi i ich instytucje, przez żołnierzy, inżynierów, administratorów i **agentów wywiadu**, przez fabryki, lotniska, plantacje i koleje".

Czyż może ktoś mieć teraz jakiekolwiek wątpliwości co do znaczenia kredytów planu Marshalla? Jeśli tak, to rozproszy je następujące zdanie:

„Członkowie Kongresu dyskutują z ludźmi interesu na temat pożyczek dla Wielkiej Brytanii, Francji i Chin, tak jakby sprzeczali się na temat kredytów, które mają być przyznane jakiemuś przedsiębiorstwu za pośrednictwem miejscowego banku, zamiast uważać **te państwa za instrumenty polityki światowej**, jakimi są w rzeczywistości".

„Rozumiem przez „imperium światowe" państwo, które niekoniecznie rozciąga się fizycznie na cały świat, lecz które panuje nad nim politycznie. Panowanie to będzie narzucone częściowo pod przymusem (prawdopodobnie przez wojnę, lecz na pewno przez groźbę wojny). W państwie tym grupa narodów, której jądrem będzie jeden z narodów istniejących, zachowa więcej niż przypadającą mu część władzy".

„Zrozumiałym jest samo przez się, że próba ustanowienia imperium światowego nie da się zrealizować, jeśli otwarcie stwierdzimy, że celem naszym jest stworzenie imperium światowego. Należy użyć określeń łatwiejszych do przyjęcia, takich jak: „Federacja światowa", „Republika światowa", „Stany Zjednoczone świata", „Rząd świata", czy też nawet „Narody Zjednoczone"...

Doszedłszy do tego punktu nasz płomienny teoretyk imperializmu amerykańskiego nie potrzebuje już niczego ukrywać.

„Bez komunistów Francja mogłaby być dla Stanów Zjednoczonych wielką przyjaciółką i bastionem cywilizacji zachodniej w walce o

Wolność w kraju dolara

panowanie nad światem. Czasem trzeba jednak poprawić również przyjaciółkę. Stany Zjednoczone poparte przez Wielką Brytanię łatwo mogą zmusić Francję do dostosowania się do nich w kwestii niemieckiej; okazując się twardą Ameryka nie osłabiłaby swych więzów z Francją, lecz uczyniłaby je bardziej silnymi".

Jest to dla nas dowodem, że pan Burnham nie jest fantastą, czy też ideologiem, którego myśli mijają bez echa. Zapewne, nie jest on Hitlerem, lecz mimo to książka jego zasługuje na porównanie z „Mein Kampf". Wyraża myśl sfer panujących. Pan James Burnham bowiem jest jednym z doradców politycznych prezydenta Trumana.

Na zakończenie zacytujemy program „defensywny", jaki proponuje pan Burnham rządowi Stanów Zjednoczonych (nie wyczerpuje to naturalnie tej prawdziwej kopalni, jaką stanowi jego książka w zakresie znajomości imperializmu amerykańskiego).

„Należałoby uznać, że pokój nie jest i nie może być celem polityki zagranicznej.

Należałoby zrezygnować z tego, co zostało jeszcze z doktryny „równości narodów". Stany Zjednoczone powinny otwarcie uznać się za kandydata do kierownictwa polityką światową.

Należałoby całkowicie porzucić zasadę „nieinterwencji w wewnętrzne sprawy innych narodów", która już obecnie jest jedynie pustą formą. W sprawach tyczących polityki światowej normalnym postępowaniem powinna być interwencja szybka, energiczna i wystarczająca, a nigdy jakaś nieinterwencja. Zasada interwencji będzie tym bardziej skuteczna, jeśli zostanie ona wszędzie jasno zrozumiana"...

Polityka ta nie będzie mogła być zrealizowana, jeśli Stany Zjednoczone nie będą zdolne użyć siły, jeśli nie będą na to zdecydowane i jeśli nie będzie się o tym wiedziało. Możliwym jest, że nie będzie potrzebne uciekanie się do siły, względnie, że wystarczy częściowe jej zastosowanie. Koniecznym jest jednak, by zasada ta istniała jako przesłanka, gdyż w przeciwnym wypadku sylogizm polityczny jest niedoskonały".

„Sylogizm polityczny", jak rozumie go Burnham i jak praktykuje Truman jest następujący: by zdobyć panowanie światowe należy przygotować wojnę.

Wojna jest również ulubionym tematem pana Lucien Morice. O ile nam wiadomo, nie jest on Amerykaninem. Lecz mimo to z większą dozą liryzmu niż pan Burnham uświęca perspektywę „Imperium światowego". Opiewa radość poddania się Stanom Zjednoczonym:

„Rozważając sprawę utworzenia imperium trzeba zauważyć, że jego natychmiastową konsekwencja jest zniszczenie możliwie całkowite wszelkiego aparu narodowego. Utworzenie imperium niszczy armię, która jest instrumentem tego oporu, aby zdać na łaskę i niełaskę oraz sparaliżować kierownicze organa danego narodu. Celem jego jest nie zniszczenie danego narodu, lecz **ujarzmienie jego pragnienia suwerenności.** Ujarzmionemu narodowi zostawia się wszystko, co jest potrzebne do życia(?) i do pozostania samym sobą(?), lecz nie zostawia się jakiegokolwiek z środków, które **umożliwiłyby mu nieposłuszeństwo".**

Cyniczny teoretyk imperializmu amerykańskiego brata się z radosnym apostołem kollaboracjonizmu i narodowego upokorzenia. Bratają się w apologii wojny, będącej ich wspólną i jedyną perspektywą.

Książki, o których mówiliśmy, nie są jedynie wyrazem osobistych opinii. Są one wyrazem pewnej ideologii, realizowanej przez pewną politykę. W chwili, gdy na całym świecie gromadzą się siły pokoju, książki te umożliwiają **dokładne określenie niebezpieczeństwa,** wskazują bez cienia watpliwości **na tych, którzy myślą o agresji i którzy ją przygotowują: na imperialistów amerykańskich oraz na ich neo-kollaboracjonistycznych współwinnych.**

*) Fragmenty artykułu.

Paul Robenson

Ameryka to także ja *)

Czasem, gdy wracam do swych stron rodzinnych w New Jersy, moi przyjaciele z lat studenckich pytają mnie: „Co się z tobą stało? Byłeś tak spokojnym chłopcem, a teraz bez przerwy walczysz i uprawiasz politykę".

Wracam wtedy myślą wstecz i pytam samego siebie, czemu należy przypisać to, że moja postawa życiowa tak bardzo zmieniła się od czasu, gdy byłem studentem. Uświadamiam sobie wtedy, że właśnie tu, w Anglii, pod wpływem waszego ruchu robotniczego, stałem się bojownikiem i zacząłem rozumieć politykę.

Po raz pierwszy przybyłem do Anglii na kilka lat przed wojną. Myślałem wówczas, że moim jedynym zajęciem będzie sztuka. To, co zobaczyłem w Mayfair bardzo mnie zakłopotało. Pewnego dnia usłyszałem tam jednego z waszych arystokratów, który zwracał się do swojego służącego tak, jak do psa. Powiedziałem sobie: „Pawle, to tak samo, jakby mówił do ciebie jakiś Południowiec w Stanach Zjednoczonych".

Zrozumiałem wtedy, że walka mojego czarnego ludu w Ameryce i walka wyzyskiwanych na całym świecie robotników stanowią jedną i tę samą walkę.

Były to lata kryzysu w Anglii. Pewnego dnia udałem się do górników walijskich i stoczniowców w Glasgow, by im zaśpiewać. Stanąłem na trybunie, biorąc udział w wielkich manifestacjach, które zorganizowaliście w sprawie republikańskiej Hiszpanii.

Czuję się w Anglii jak u siebie w domu. Płynąc kilka dni temu parowcem postanowiłem zaśpiewać coś dla jego załogi, a gdy przybyłem do Southampton, robotnicy stoczniowi przyszli na pokład i zwracali się do mnie po imieniu. Powiedziałem im wówczas: „Tak, jestem częścią tej Anglii".

Przemawiam również za tymi siłami postępowymi Ameryki, które razem z siłami postępu we wszystkich krajach walczą z imperializmem na całym świecie. Będąc amerykańskim Murzynem jestem jednym z 15 milionów podobnych do mnie. Urodziłem się w Ameryce. Uczęszczałem na amerykański uniwersytet. Jestem produktem amerykańskich dołów społecznych.

Moi przodkowie należeli do tych, którzy pierwsi zaczęli zaludniać Amerykę. Mężczyźni i kobiety mojej rodziny zostali sprowadzeni tu w 1620 roku jako niewolnicy. Należeli do tych robotników, których sprowadzono tu, aby budować Amerykę. W okresie tym wiele statków płynęło na Zachód z siłą roboczą skutą kajdanami. Być może niektórzy z czytających te słowa są potomkami chłopów angielskich, sprzedanych plantatorom jako niewolnicy — po klęsce powstańców Monmoutha walczących przeciwko Jakubowi II. Być może wśród waszych przodków znajdują się mężczyźni i kobiety przewiezieni na plantację jako służba kontraktowa, nie różniąca się wiele od niewolników.

Oto jeden z aspektów historii amerykańskiej, o którym adwokaci prześladowań rasowych starają się zapomnieć. Podczas gdy Murzynów wysyłano jako niewolników na plantacje bawełny, podobny los spotykał Anglików, Szkotów, Irlandczyków i Francuzów, będących ofiarami ubóstwa i tyranii. Praca czarnego i białego ludu była zasadniczą podstawą wielkiego bogactwa Ameryki.

O moich więzach społecznych decyduje fakt, że 100.000 mieszkańców Afryki zostało oderwanych od swojej ziemi po to, by budować bogactwo „liberalnego kapitalizmu". Zdaję sobie z tego sprawę, gdyż jeszcze mój ojciec był niewolnikiem. Urodził się w 1843 roku, uciekł z niewoli w 1858, na pięć lat przed zniesieniem niewolnictwa, i walczył w armii Stanów Północnych. Ja urodziłem się w 1898 roku jako najmłodszy z siedmiorga dzieci.

Kilka tygodni temu, podczas kampanii wyborczej Henry Wallace'a, znalazłem się na tej samej ziemi, na której ojciec mój pracował jako niewolnik. Moi krewni pracują tam po dziś dzień. Są to biedni czarni farmerzy, starający się zdobyć swe utrzymanie pracą na wyjałowionej ziemi. I nie mają za sobą ani jednego prawa, które by biały Południowiec musiał uszanować.

Przemawiam za Ameryką postępową, której jedną tylko część tworzą amerykańscy Murzyni, a która walczy o zrealizowanie tego „new dealu", który formalnie wymaga większości wyborców. Truman swój wybór na prezydenta zawdzięcza faktowi, że oszukał lud mówiąc, iż zrealizuje to, co Henry Wallace chciałby zrealizować.

Jestem częścią tej współczesnej Ameryki, która jest prześladowana, gdyż broni praw obywatelskich i walczy o prawo do życia godnego istot ludzkich. Ważnym jest, by lud angielski wiedział, że te zasadnicze prawa człowieka są dziś w takim samym stopniu bezpośrednio zagrożone, jak to miało niegdyś miejsce w Niemczech Hitlera.

Gdy myślę o tym, co się dzieje w moim kraju, dziwię się, że tylu Anglików mających za sobą w przeszłości walkę o sprawę postępu nie widzi, że tacy ludzie jak Forrestal, Harriman i Stettinius dążą po prostu do ekspansji amerykańskiego imperializmu.

My, członkowie partii postępowej, jesteśmy przekonani, że Truman znajduje się pod wpływem tych właśnie ludzi i że pierwszym naszym obowiązkiem jest czuwać, by nie spełnił swych pragnień. Za jedno ze swych zadań uważam ukazanie wam perspektyw tego, co się dzieje obecnie w Ameryce.

Gdy zakazano mi przemawiać na uniwersytetach amerykańskich — ponieważ jestem „anty-amerykański", gdy prześladuje się najlepszych postępowców Ameryki — pytam się ludzi na odpowiedzialnych stanowiskach, czy nie zrozumieli jeszcze, że obecnie żaden naród nie może żyć sam dla siebie, że każdy naród jest częścią świata?

Wmawia się w nas bez przerwy w Ameryce, że tworzymy część świata zachodniego (pozwalam sobie zauważyć, że to określenie geograficzne obejmuje Turcję i Japonię). Wmawia się we mnie, że mój dwudziestojednoletni syn będąc Amerykaninem, związany jest z zachodnimi Niemcami, gdzie odrasta faszyzm, że ja, jako Amerykanin, jestem związany z narodem, który zaczyna finansować generała Franco, który pomaga faszystowskiej Grecji i reakcyjnej Turcji, który przygotowuje się do złupienia Afryki.

Ja należę do innej Ameryki. Nie chcę należeć do tego samego świata, co Franco, należę do świata Hiszpanii republikańskiej, greckiego ruchu oporu i nowych demokracji. Należę do Ameryki, która szuka przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Jestem przyjacielem Izraela a nie interesów naftowych. Jestem przyjacielem nowych Chin, a nie nowej faszystowskiej Japonii.

Ameryka to także ja!

*) Paul Robenson, sławny śpiewak, murzyński, obywatel USA.

Od Administracji

Przypominamy o wpłacaniu prenumeraty na rok bieżący

Józef Pogan

INTELIGENCJA NA WSI W CZASIE OKUPACJI

(PAMIĘTNIK, III.*))

Partyzantka B. Ch.

Wieś, o której pisałem w nr 47 i 48 „Wsi“, jest zewsząd otoczona wzgórzami i lasami, ma niewygodne drogi do szos, a zatem i do otaczających ją o kilkanaście kilometrów miast. Jest to wieś umiejscowiona w samym środku czysto rolniczego „krążka“.

To więc położenie wsi, jako też i mała willa dra M. w głębokiej wśród skał dolinie ściągnęły w czasie wojny kilkanaście inteligenckich rodzin z miasta na zamieszkanie, gdzieby z dala od posterunku policji, od siedzib Gestapo i żandarmerii niemieckiej można było mieć nadzieję na uniknięcie prześladowań ze strony okupantów.

Już w roku 1940, w willi dr. M. zamieszkało na stałe kilka rodzin, zarówno polskich jak i żydowskich: sędzia B., brat jego J. dyrektor M., doktór B., dyrektorka gimnazjum Z., aptekarka W., dwie wdowy po lekarzach, żona jakiegoś oficera, wreszcie nauczyciel gimnazjalny S.

W ślad za mieszkańcami willi sprowadziło się do wsi kilka żydowskich rodzin: były właściciel składu monopolu spirytusowego, składu obuwia, sklepu żelaznego i paru biedniejszych „straganiarzy“. Także pewien filolog (Polak) oraz młody chłopak, syn lekarza. Ten ostatni służył jako pastuch u jednego z bogaczy.

Przedwojenne życie wsi, zamykające się w kręgu takich czynności, jak lepienie maleńkich glinianek, wyporządzanie chlewików na mieszkania, łażenie po okolicy z kosami, z cepami, latanie o świcie do harówki w okolicznych dworach, strzyżenie cudzych brzózek na miotły, wyładowujące się w stałym antagoniźmie między biedotą a bogaczami, pobożnością i lojalnością wobec rządu jednych, a nienawiścią do kleru i rządu drugich, w ich narzekaniach i pomstowaniach — w czasie wojny przybrało inną nieco formę. Sama wojna zaciążyła na życiu wsi, ale i miejska inteligencja, która znalazła się na wsi, w różny sposób wpływała na zmianę pojęć i poglądów chłopów. Bo wśród tej inteligencji tak samo jak i wśród wieśniaków — istniały różnice materialnego życia i przekonań religijnych i polityczno-społecznych. Wiadomo: „straganiarze“ czy proleteriusze bardziej zbliżali się do wiejskiej biedoty, zaś eks-kapitaliści i burżuje — do bogaczy.

Tak jak i przed wojną, życie wsi dzieliło się nadal na dwa obozy. Jednemu przewodzili: ksiądz proboszcz, mgr teologii, właściciel willi dr M. i właściciel skromnego folwarku P., drugiemu zaś biedny filolog i sędzia B.

Jak już wyżej wspomniałem — „życie wsi przybrało nieco inną formę“. To znaczy, że wiejska biedota i jej zwolennicy z miasta nie zabiegali o dostatnią przyszłość, walcząc jedynie o samo przeżycie wojny i o jakąś nieskrystalizowaną jeszcze w pojeciach sprawiedliwość społeczną po wojnie. Natomiast obóz przeciwny w różny sposób starał się udoskonalać i powiększać swój dobytek, jak również skupić wszystkie siły na religijno-mistycznej i „mocarstwowej, od morza do morza“ propagandzie przyszłej Polski. Proroctwo „Wernyhory“ stale było na ustach i szumiało w uszach.

Przewagę oczywiście miał obóz „możnych“, zwłaszcza, że i kościół usilnie mu pomagał. Ksiądz proboszcz wygłaszał „wzniosłe“ kazania i wybuchając „świętym gniewem i oburzeniem“ — potępiał wszystko, co „nie od Boga pochodzi. Słowa jego miały jakąś „utajoną moc“ i paraliżowały umysły wiernych. Wyśmienicie pozowali księdzu do tej gry byli burżuje i bogacze. W najgłębszej pokorze pochylali czoła, bili się w piersi i modlitewnie szeptali różańce. Przede wszystkim doktór M. „uroczyście“ wyglądał „w uniesieniu duchowym“: przez cały czas nabożeństwą, w pochylonej pozycji, z utopionymi w ołtarzu wielkimi oczami — jak zahypnotyzowany szybko bebnił różaniec wargami. A dopieroż w czasie komunii bywała ceremonia: potężną matronę, matkę doktora, syn i synowa brali pod ręce, klękali majestatycznie na stopniach ołtarza; obok nich po obu stronach wydłużali rząd panowie i paru zamożnych chłopów; po nich dopiero klękały dewotki, po dewotkach „zwykłe, grzeszne ludziska“. Tak bywało co niedziela, tak bywało czasem w powszednie dni.

W czasie kazania ksiądz proboszcz często wspominał o pobożności doktora M. Stawiał go całej parafii za wzór wiernego katolika. Pobożność doktora według słów księdza — pochodziła właśnie z mądrości i bojaźni Bożej.

W każdą niedzielę po nabożeństwie ksiądz i doktór M. udawali się na przyjęcie do jednego z najbogatszych wieśniaków. Dom jego był jakoby „wiejską agencja donosicielską“, gdzie wiadomości donosili: sługa kościelny i dewotki. Gospodarz spełniał rolę pośrednika, tzn. odbierał wiadomości i powtarzał je księdzu i doktorowi. A wiadomości bywało moc: „tylu, a tylu ludzi nie chodzi do kościoła, do spowiedzi, ci są niechętni klerowi, ci bolszewicy-komuniści, tamci zaczadzeni wrogą propagandą, ten mehes naprawdę jest wiernym katolikiem, tamten od strachu spowiada się i przystępuje do komunii, ten pan jest nasz, tamten ciałem i duszą należy do pospólstwa; jeszcze inny igra z ogniem i z Bogiem i wrogą propagandę rozsiewa.

Na takich „meldunkach“ i sprawozdaniach kończyło się w tym domu. Dopiero willa doktora była jakoby „drugą instancją“, gdzie na posiedzeniach w szerszym gronie „między innymi punktami programu rozgryzano i przetrawiano“ całość wiejskiego życia. Rozprawiano o chłopskiej wytrwałości wobec trudów i wszelakiego cierpienia, o umiłowaniu ziemi ojczystej, o wierności małżeńskiej, która winna być wzorem dla mieszczan, o bojaźni Bożej, lub na przemian o chłopskim nieprzełamanym uporze do inowacji, o obskurantyźmie, o skąpstwie i różnych dziwactwach, o ubogiej duszy itp. O, tam potrafili ocenić chłopa z ciałem i z duszą, zważyć go na gramy i miligramy.

Dr M. jakkowiek już przed tym odczuwał w sobie chęć „uzdrawiania błądzących dusz wiejskich“ — po takich cennych z księdzem i burżujami dyskusjach umacniał się w swym posłannictwie. Tym bardziej w tej krytycznej chwili, gdy to z jednej strony trzeba „umacniać chłopów w patriotyźmie“, z drugiej znów baczyć pilnie, by zamieszkali inteligenci (ci z drugiego obozu) „nie wepchnęli nieświadomych wieśniaków na błędną drogę“. Nie szczędził więc osobiście wskazówek, napomnień, ostrzeżeń z kim nie należy się wdawać, kogo jak diabła unikać itp. Żona zaś doktora założyła we wsi Akcję Katolicką, gdzie na zebraniach wygłaszała „płomienne“ referaty. I czynem też popierała swe słowa, a jakże. Czasem np. podała jakiemuś biedakowi kawałeczek chleba z herbatką, ciasteczko, przez służącą posłała stare skarpeciska, nawet koszulsko. A zawsze z domówieniem: „Zamożniejsi, szlachetni ludzie, mający Boga w sercu, winni biedaków wspomagać. Idea chrześcijańska tak nakazuje“.

Było jednak wielu wieśniaków, orientujących się w tej dziwnej, pańskiej grze. W dodatku ów biedny filolog pilnie wszystko obserwował i obłudę opiekunów wsi przy każdej okazji odsłaniał. Nienawidzili go więc, nazywając „dziwakiem, odosobieńcem, wykolejeńcem“, lub jak ksiądz — „zaślepieńcem“.

Prawdę mówiąc, ów filolog był w niektórych sprawach trochę dziwak, jednak uczciwy, prawdomówny i z prostym ludem żyjący. W każdy niemal wieczór wychodził na wieś, a wokół niego skupiała się co pośledniejsza biedota, słuchając objaśnień sytuacji wojennej, politycznej, o rozpanoszeniu i rozwydrzeniu kleru w średniowieczu, o okrucieństwach św. Inkwizycji itp. Napisał też humoreskę pt. „Szatan“, którą czytał bliższym przyjaciołom. Charakteryzowała ona trafnie księdza proboszcza zarówno w op'sie postaci jak też w jego dyktatorskim stosunku do parafian, tym nakazie „psiego obowiązku składania ofiar na kościół, w tej nienawiści do nie chodzących codziennie do kościoła, do spowiedzi, nie odprawiania nowenn dziewięciu piątków“... Nic więc dziwnego, że biednego magistra żaden z inteligentów nie odwiedzał, bo nawet ci, co byli po stronie biedoty, też mieli pewne skrupuły co do towarzystwa z „dziwakiem i bezbożnikiem“. Żył więc jak pokutnik w wilgotnym mieszkaniu i głodował jak każdy wiejski biedak. Kupioną czasem kwartę ziarna mełł w żarnach u sąsiadów.

* * *

Nadszedł rok 1941, a z nim w dolinie głodowe lato — ciężki przednówek, jakiego nawet najstarsi ludzie nie pamięali. Biedacy ledwo ziewający od osłabienia, wariowali niemal z lęku przed śmiercią głodową, łazili z workami od wsi do wsi niby te kapiące muchy na jesieni, a wśród pobożno-bogackiej kliki życie płynęło normalnie: pieczywa, wędliny, wódka, przyjęcia, radość życia... Ksiądz nadal wygłaszał kazania, a doktór rozdawał moralne wskazówki i pouczenia. Doktór wytrzasnął skądś 10 korcy żyta i pszenicy, właściciel folwarku wiele metrów nawozów sztucznych, bogacze zaopatrywali się w odzież i narzędzia... A biedacy skamlą daremnie o ćwierć ziemniaków na odrobek czy za pieniądze... Pono bogacze nie mieli dla nich zboża — mieli tylko robotę po 10 złotych za dzień, gdy kilogram żyta kosztował 12 złotych. Taka była wojenna „norma“ zapłaty za pracę, a kto żądał więcej — spotykał się z rażącą odmową. Ileż to było prześmieszek, wydrwiwań, gdy jedna Żydówka, była straganiarka, chciała iść w pole do pracy u bogacza za pół bochenka chleba... A wieleż to razy małe dzieci bogaczy powtarzały do siebie: „Moja mamusia poszła się przespać do stodoły, bo przednowcorze nie dadzo jej sie przespać w izbie, co tak cięgiem drzwiami chwierutajo. Zodnym przecie cudym mamusia z tatusiem ni mogo sie ognać przed przednówcorzami“.

* * *

Mordowanie Żydów wstrząsnęło biedotą chłopską. Widzieli oni w tym jakąś tragedię słabszej części ludzkości, która stopniowo będzie miażdżona w strasznych szczękach potwora; pobożnisie dopatrywali się w tym zemsty Bożej za umęczenie Chrystusa, zaś ci „możni“ widzieli w tym jakąś nieuniknioną tragedię narodu, który nie ma swej ojczyzny. Dyskutowali też czasem nad tym czy „ich szkoda, czy nie szkoda“. Wychodziło przeważnie tak, że „ich szkoda jako ludzi, jako boskiego stworzenia, ale nie bardzo szkoda jako narodu“. Jednak nie zdradzali się przed Niemcami, a nawet tym „możniejszym“ i ochrzczonym pomagali do ukrycia się. I dumni byli z tego, że wypełniają to, co „chrześcijańska miłość względem bliźniego nakazuje“.

Wybuch powstania warszawskiego ogromnie „możnych“ uradował, bo według nich „sama Polska się oswobodzi od Niemców i rząd londyński wraz z Eisenhowerem przybędzie do Polski“. Dopiero upadek powstania złamał ich wiarę „w mocarstwowość Polski“. Ho, ho, już to byli nie ci sami panowie co wpierw! Już nawet i starych skarpet czy koszul nie podarowali biedakowi. Zrobili się kwaśni, niedostępni, że nawet i wskązówek moralnych nie mieli ochoty udzielać.

„Umoralnianie“ chłopów i rzucanie im ochłapów na przynętę „z chrześcjańskiej miłości bliźniego“ skończyło się wraz z nadchodzącą Wolnością.

*) Część I — „Wieś“ nr 47.
Część II — „Wieś“ nr 48.

Jerzy Miller

W MARSZU

Kąpią się wśród wysokich traw pasikoniki
niżej płynie rzeka gdzie się kąpią ludzie
Piasek o kolorze ciała ukrywa ich ciała
i pejzażu rozpala żółte nieśmiertelniki
są to trzmiele pstre których ukłucie
płoszy konie i ciszę oddala

Ludzie przeszli ku haszczom gdzie
zwitki bielizny bieleją i zielone nikną
mundury w gałęziach tarniny i wierzb
karabiny w kozłach i luźne rzemyki
tornistrów ułożonych w rząd a nie jak kto chce
w wąwozu ciasnym przesmyku

Była piękna niedziela i gołe
bez chmur niebo oglądało nagusów
którzy siedzieli na dole
gdzie wodospadu drgał muskuł

Zblakłe paznokcie otwierały szwy
Na pół rozdziani przetrząsali odzież
Żołnierze wtedy bili wszy
rękami spranymi we wodzie

NA JEDEN DZIEŃ

Odwraca się kontur miasta, które zna
już wojna. Nie rzeką, aby spłókała
mury; nie wiatrem, aby odsypał kurz.
Niechaj z afiszów odezwa
czerwona zrobi się biała
wapienna, blada jak mróz.

Krew niechaj się odczerwieni,
aby płynęła w ich takt.
Orkiestra niemiecka w niedzielę
idzie do parku i na mosiądzu płomieni
wygrzewa się słońca trakt
i towarzyszy kapeli,

Kroczą ze swymi dziewczętami lotnicy,
muttchien z pinczerkami i major
piechoty i kilku einjaehrige
w srebrze naszywek. W zenicie
blasku pomarzyć i stają
jak odniechcenia w szeregu.

Świat zastygł przy tamtym
jak gdyby glob kręcił się w kółko,
a nie posuwał się naprzód szalony.
Mieszkania, kawiarnie, puffy i werandy
i dziuple rynien, w których jaskółki
swe gniazda uwiły i tony...

Czyżby front zamilkł i spały okopy
na słońcu jak czerwie syte, bo martwe
i żaden w powietrze nie wzleciał
samolot od Leningradu do Perekopu
aż po Bizertę i zwinął swą wartę
jak namiot w spalonym lesie.

A nieruchomy przedmieścia obraz
poprzez szczeliny w oknach i rdzawe
zamki u drzwi czaił się jak bezwolne
cielsko bagniska i orszak,
który przemierzał Warszawę,
szedł przecież naprzeciw wojnie!

Edward Marzec ilustr. **S. Cieloch**

W Ę Z E Ł

(Fragment powieści)

I

Niebo się ledwie jarzy, jakby płonący ogień dnia schodził w popiół coraz ciemniejszy. Domostwa, drzewa, brzegi grubieją. Stygnie wszystko, a pulchny kurz pachnie na drodze. Gasną głosy, ustaje wszelki ruch, a gwiazdy, jak żywe gwoździe wyskakują po niebie i trwają drobną gęstwą.

Przy Wojcieszkowym płocie, nad główną drogą, jak zwykle o tej godzinie, gromadzili się młodzi ludzie z przysiółka i z dalszych chałupek. Rozeznać ich po twarzy już nie podobna, ale po głosie wiadomo, że prócz stałych obwiesiów, jak Edek Sobczyk, Antoni, Bolek Wiśniewski i jego młodszy brat Wicek, przybyli chyba i inni, bo czarna plama sięga już do drugiej wierzby przy sztachetach i do połowy ulicy. Rozmawiają nie wiadomo o czym. Szeleszczą bibułką, bo kręcą papierosy, mignie ogień, to kilku się nachyla nad zapałką. Potem plują, przestępują z nogi na nogę Słychać, mlaskanie, bo gryzą wczesny owoc.

Dwa cienie odbiły się od gromady na drugą stronę drogi. Stefek jest wysoki, drugi zaś bardzo mały.

— No, mów — odezwał się wyższy.

— Nie było ich tak dużo.

— Kogo?

— Żandarmów. Może sześciu, ale jak się rozbiegli, to widziało się ich w każdym miejscu Na wysiółku. Pod szkołą. Za stawem. Wszędzie. Padł na ludzi strach, bo nikt nie wiedział za czym przychodzą. Żeby to choć o sołtysa pytali..

* * *

— Teee, przestań rzucać ogryzkami — krzyknął ku sztachetom.

— A, nie odzywaj się, bo będą jeszcze więcej rzucać.

* * *

U Dudy zastali wszystkie trzy. Dwie zapisane, bo Józka okazała się mądra w takiej opresji. Wynosiła akurat cebrzyk z pomyjami i utknęła gdzieś w słomie.

— U Cholewy?

— Tak, tak. Tadek konie poił, a panna skrobała ziemniaki. Zapisani. Romek Ryńca umknął, ale Stasia wpisali dokładnie z kenkarty.

* * *

— Przestań rzucać, mówię, ogryzkami! — wrzasnął znowu ku sztachetom.

— Nie odzywaj się do nich.

* * *

Bez mala wszystkie — mówił Tadek — domy przeszli, a że ludzie wracali już z pola i kręcili się po chlewach, to było w czym przebierać. Nigdybym nie pomyślał, że tyle jest dziewczyn w Bukowcu. Sześćdziesiąt, mówię, ci, co do sztuki wiem i to bez smarkatych.

— Powiedzże nareszcie, jak u Kwietnia?

— Pomału. Kiedy to ostatni raz byłeś u Marysi? Aha. Pamiętasz, co jej matka mówiła. Nie daj ci, Boże takiej teściowej, Stefek.

— Co mówiła?

— Lepiejbyś się podała na roboty! Albo się gdzie chcesz podziej, włóko, żebyś ino z tym wielebnym Stefkiem nie chodziła! A ręce tak, jak na krzyżu baba zakłada...

— Aaa Pomylona.

— Nie o to idzie. Przepowiedziała sobie. I wczoraj okropny lament.

— Ostatnie dziecko na roboty! Po ludziach pełno próżniactwa, a mnie z gospodarki zabierają. Mówiłam ci, wydaj się za kogo bądź, to by żyniatej nie wzięli na roboty, boś wtedy już nie panna. Maryśka fuknęła, jak kotka. Głupiaście mama, Niemcowi tak powiedzcie, bo nie wie. Wyklinaliście przecież, żebym już lepiej na roboty jechała!... Tak? — wrzasnęła matka — głupią mię będziesz nazywać! Jedź! Jedź! I wypadła do sieni płakać.

Jeszcze było widno, ale żandarmi przecież nie chcieli czekać wieczora. Stoją już razem w Sobeckowym sadzie i szwargocą. Wezwali sołtysa i zaczynali się zbierać do odjazdu.

Wielkie szczęście, że się Kwiecień zjawił. Miałbyś Stefek dobrego teścia. Podszedł od razu do Niemców, jak do najmilszych ludzi i prosi ich łagodnie na podwieczorek. Chłopi zeszli się i jakoś lżej patrzą, bo tu już w głowach się poprostowało. Ugościć za wszelką cenę! Ułagodzić! Sołtys rozesłał gońców za składką, a Kwiecień zagarnął całe towarzystwo do Sobecka. W każdym domu płacili, tylko Dudracka, której tak samo zapisali tą pyzatą Kazię, rozdarła się na chłopaka jak stodoła. Na jakiego diabła — mówi — będę dawać? Niech bogacze płacą. Mnie wnet przyjdzie morgę sprzedać, żeby dzieci od robót wykupić.

* * *

— Edek! Dasz spokój z tymi ogryzkami?

— Czego chcesz pępku? — rozdarł się któryś spod sztachet — nie ma Edka. Spowiadaj się dalej.

* * *

— Karabiny — mówi Tadek dalej — ustawili pod oknem. Pod tym od sadu.

— A Maryśkę zapisali? — pyta Stefek zamyślony.

— Tak.

— Twoją też?

— Tak.

— I co?

Biedrawka! Biedrawka — krzyczą ucieszone baby. Dobrze, żeście są. I jak nie było pewności, czy na pijatyce wieś skorzysta, tak teraz wszyscy, kto przy tym był, uwierzyli, że dzieci do Niemiec tym razem nie wyjadą. Biedrawka odął mroziate wąsy i wypiął pierś, bo uczuł się jakoś tego dnia potrzebny bardziej od kogokolwiek. Zmiarkował od razu o co ludziom chodzi. Przeszedłszy próg ukłonił się i zagadał po niemiecku. Grzecznie się przysiadł i z miejsca do obrządku. Ano, to pijmy — mówi — unosząc kieliszek. Kwiecień dolewał, a Sobeckowa ładowała talerze kiełbasą. Po paru kolejkach języki się rozwiązały i Biedrawka stojąc wniósł okrzyk: niech żyje dojczland! A my tu — powiada — staramy się oddawać kontyngenty sumiennie, bo wasze zwycięstwo da nam dobrobyt! Potrzebujemy jak najwięcej ludzi do pracy.

Starszy sierżant powtarza w kółko: arbajten, arbajten.

Tyle się nagadali, a o jakiejś ugodzie, żeby zapisanych wymazać, nie było mowy. Kwiecień za wiele dolewali. Cóż, chłopu ręka drży, gdy myśli niecierpliwie. Żandarmi się już łygują na krzesłach i coraz weselej szwargocą. Sierżant się rozpiął, taki był już mokry. Gęba, żeby nie zgrzeszyć, jak u tłustego prosięca. Gładziutki i w takim kolorze, a oczka małej rybki. Co, widziałeś takiego? Gdy Sobeckowa przechodzi z talerzem koło niego, klepie ją bez czucia i kręci ryjkiem. Drudzy biją się rękami po udach z ochoty. Czego chcą? Dziewczyny! Dziewczyny! Piękne! — krzyczą.

Chłopi się trochę wzdrygnęli, ale Biedrawka...

* * *

Ooo, rany boskie! — wrzasnął na drodze biegnący malec — mama, przeciął mi głowę! Złooodziceeej!!!

Ha-ha-ha-ha!!! — zaśmieli się wszyscy przy sztachetach. Ustroił cię! Hahaha! Na pewnoś złodziej, kiedy taki bęben o tym głośno mówi. Edek, Edek? — darujesz mu? Hy, złodziej.

— Taki, jak wy — odpalił Edek poważnie.

Daleko słychać było jeszcze tupot bosych nóg po kurzu, tak się chłopiec bał.

* * *

— I, co Biedrawka?

— Wypadł do sieni i na wieś. Tamci się bili po udach i mlaskali. Chłopi, jeśli który był trzeźwiejszy, kręcili się nieswojo, ale każdy się uspokoił. Cóż to, ubędzie dziewuchom, choćby przyszły?

— Po pół godziny zjawiły się nasze Maryśki i Władka Dulębianka, też nie brzydka.

— Nieprawda — warknął Stefek. — Niemożliwe!

— Tak. Twoja i moja. Przecież nie wiedziały po co.

— Nie wiedziałyby?

— Z pewnością nie. Biedrawka im wytłumaczył, że trzeba osobiście prosić o zwolnienie. Głupszy jest, jak myślałem. Przecież to człowiek światowy. Ale widać dziad ma ambicję chłopską i chciałby pokazać najładniejsze. Żeby żandarmi wiedzieli, jakie to panny w Bukowcu urodne rosną. Mógłby zawołać tamte z przysiółka, któreśmy golili za kontyngentowców. Cóż kiedy dziad jest honorowy.

Skoro dziewczyny weszły do izby zalęknione na widok tylu ludzi, prosięciu gęba się ożywiła. Tamci biorą jedną we dwóch na kolana. Zrazu pisk Ale panny piją i wódka łagodzi. Bronią się jeszcze przed rękami, ale coraz słabiej, aż im już i ręce nie wadzą.

* * *

— Chłopaki! — wołają Wojcieszkowa z ogródka — nie widzieliście naszych gęsi, jak szły do stawu?

— Chłopaki są w lesie — krzyknęli. Gęsi szły od stawu?

— Powiedzcie, powiedzcie — nalega staruszka — bo ich jakoś nie widać, a późno przecie.

* * *

Raptem, okno się otwarło. Drzwi lekko skrzypnęły. Do izby wpadli cicho trzeźwi ludzie. Karabiny podają komuś przez okno, ale chociaż nie hałasują przy tym, to przecież ruch się robi. Sierżant się poderwał i odpina pistolet. Dostał w łysinę. I skrępowali go. Kaprala zwlekli z łóżka. Patrzył i mrugał. Czego się dziwisz — zapytał któryś — rozespanyś? Powiązali wszystkich i kneblowali sianem. A później na podwody, które na drodze czekały...

II

U Buckiego zabili dziś świnię i po sprawieniu gospodarz zamierzał uwędzić w nocy. Nie była to dobra pora, bo akurat jabłka dojrzewają, więc dwie roboty będą na noc, bo przecież owocu trzeba pilnować.

Gdy Stefek uganiał się przed Jakubowym wilczurem, to Tadek gwizdał na łąkach. A Edek z Bolkiem czołgali się przez Michelowe ziemniaki prosto na Buckiego pszczelnik. Cicho, żeby psy w tę stronę nie szczekały. Już są przy płocie. Kolejno przechylili się w sad i przez namiękły od rosy trawnik dotarli szczęśliwie ku ulom. Wtem psy rozszczekały się okropnie ku drodze, sycząc łańcuchami po drutach. Gospodarz podkręcił latarnię i biegł ku suszarni. Psy atakują. Chłopaki wyszli zza uli i już obrywają jabłka z czubka. Tamci na drodze uciekli, obrzucając bryłami tak gęsto, że o mało chłopu latarki nie stłukli. I wtedy Bucki zrozumiał, o co chodzi. Jest z powrotem w pszczelniku i zadarłszy głowę do góry woła:

— Schodźcie! — Poznałem. Bolek i Edek!

Chłopaki milkną i obrywają spokojnie. Nie wiele myśląc, pędzi chłop z latarnią ku domowi. Psy się ruszyły od nowa. Gdy dobiegł kieratu, bo chciał mieć bliżej, zarechotały znienacka tryby, drąg zgasił światło i Buckiego obalił Nim się chłop podniósł, a trwało to kilka sekund, uczuł prędkie kije na plecach.

Co się tam wyrabia — pyta zaspana kobieta, gdy wpadł do kuchni. Przeskoczył pustą izbę do komory. Pobył tam chwilę i wyszedł bez światła. — Na jabłka przyszli — warknął wściekle. Wybiegł, omijając kierat z daleka. Tymczasem papierówki dudnią jak gruby grad. Bolek szaleje na wierzchołku. Pięć par rąk łapczywie zbiera prawie leżąc, żeby mniej bolało od spadającego owocu. Psy ujadają wytrwale.

Antoni — mówi Wicek — postawicie butelkę za przygotowanie operacji, bo tak dobrze to się...

Nie dokończył, bo nagle sypnął się huk z ogniem prawie z bliska. Drugi. Trzeci. Przez trzaskający płot walą się z brzegu szare cienie, nie dbając o nic, byleby je brzeg zasłonił.

* * *

Reszta nocy zeszła spokojnie. Gdy rano Bucki szukał śladów znalazł na brzegu prawie pełny wór, który legł, usypując trochę jabłka na boki i w dół jak wnętrzności rozprutego brzucha. Trawnik na brzegu wydawał się gdzieniegdzie okrwawiony. W ziemniakach zaś stał mokry od rosy trzewik lewy, dobrze znany, bo taki nosił Jasiu od Dunina. Więc Jasiu był u wujka kraść?

Miał Bucki blisko kilku sąsiadów, ale nie ze wszystkimi się lubił. Z Michelem gniewają się, już dziewięć lat będzie na Matkę Boską Zielną, a jednak złości nie ubywa. Może ludzka natura już taka, że zazdrość musi człowiekiem władać i kierować przeciwko drugiemu, choćby był aniołem. Michel nie był skory do bicia, albo podpalenia stodół, co się wielu ludziom zdarza. Może i nie ukradłby nic grubszego. Nie darował jednak żadnej okazji do sprzeczki niby łagodnej, ale zaprawionej złością. Tego ranka, gdy Bucka zbierała otrzęsiony owoc, sąsiad stał w ziemniakach podparty motyką, a w pobliżu nie było nikogo.

He, he, he — miał takie przysłowie — ktoś w nocy rypał z karabina maszynowego.

A po małej chwili znowu — tak, akurat po tamtym narożniku. Nawet mi deskę zdziurawiło.

Bucka nie wytrzymała. — Posadziłbyś sobie drzewka, wołku, a nie patrzył na czyje!

Sąsiad udaje, że nie słyszy i, zwracając się do kogoś niewidzialnego, tłumaczy donośnie. — Widać, kto się czym trudni. Pewnie Niemcy dają pozwolenie na armaty do pilnowania papierówki?

Nic się przy was, smyki, nie utrzyma — woła Bucka z coraz dalsza, bo ją chłop ciągnie do domu.

He, he, he — prawi swobodnie sąsiad ubawiony — nawet się Kaśce kłócić nie pozwoli. Boisz sieee? Przecież nie ty strzelaaał!

Tego dnia nie było we wsi spokoju, a u Buckiego chodzili, jak struci. Po południu przybiegła Kotulinka pożyczyć sitka. Stanęła jak łasica wśród podwórza. Uniosła głowę i opuściła, a rozbiegane oczka obejrzały już połowę obejścia. Gospodyni szła z koszykiem od stodoły i tak się spotkały.

— Wiecie co się stało w Bukowcu? — pyta rozogniona Kotulina. I nie czekając odpowiedzi mówi — Desanty! Zabrali żandarmów, którzy przyjechali po ludzi na roboty.

— Ooo — zdziwiła się gospodyni zwyczajnie.

— Z Bukowca od wczoraj ludzie uciekają z krowami i pierzynkami. No co, spalą wieś. Nie?

Zanim podejmie myśl, rzuciła okiem na chlewy i przemknąwszy spojrzeniem przez twarz Buckiej utkwiła je w obłupanych z tynku schodach, gdzie leżał stary pędzel z prosa. Równocześnie przerabiała rękami pod zapaską, unosząc ją, jakby podsiewała na przetaku.

— Ale to nic. Bójcie się Boga! Sobczyk od rana beble po wsi, że i do nas mają żandarmi przyjechać.

— Nawet by źle nie zrobili — odparła niespodzianie gospodyni — patrząc na ule. — Może by złodziejstwo trochę przebrali.

Kotulinka nieznacznie przeleciała spojrzeniem przez policzki, czoło i pierwsze kropki na chusteczce, później brodę i już sięgała po nosie do oczu, ale stąd cofnęła się, spojrzawszy raptem na swoje nogi.

— Nie, nie — powiada ciszej — ktoś zdał na posterunku, że tu po nocach są ćwiczenia ze strzelaniem. O to Niemcy przyjadą. Aha, pożyczcież mi sitka. Zagadałam się, a tam krowa ryczy.

Dopiero po jej odejściu Bucka zastanowiła się nad tym, co już Staś mówił wróciwszy ze szkoły. Mówił przecież, że Sobczyk zapowiadał przyjazd żandarmów z powodu nocnej strzelaniny. I zalękła się bardzo, bo przecież nie było tajemnicą — ani kto strzelał, ani u kogo była broń. Skoro zaś posterunek się dowiedział, to pewne, że ludzie nie nadstawią głowy za Buckiego. Dla własnej skóry poświęcą jednego i to właśnie tego, który zawinił. A przestrzegała chłopa tyle razy...

— Po co ten Tadek się włóczy do nas akurat w nocy i łazicie? Nie trzymaj w domu, czego nie wolno, bo będzie z tego kiedy okazja.

— A ty wiesz o tym — uspokajał ją mąż — prawie tyle, co Kotulina o geografii. Pilnować dzieci i domu, ja nie zginę, ani was nie sprzedam.

Po takiej odpowiedzi, która bywała spokojna, Bucka wzdychała głęboko i szła do roboty, bo jakże postąpić inaczej. Tymczasem dziś mogła triumfować, bo się miało przeczucie sprawdzić. Gdyby to jednak ktoś obcy był w opresji a nie jej dom. Nie mogła w zamyśleniu trafić do trzeciej szufladki w komodzie. Gdzież ta szufladka? I chłopa od kilku godzin nie widać.

Bucki przed południem spotkał Stefka i Tadka i dowiedział się, że Edek Sobczyk jest postrzelony w nogę i odgraża się. Na posterunek już posyłano liścik do Komara, żeby donos ile się da osłabił, albo nie dopuścił do akt. Odpowiedź będzie za trzy godziny — pisał granatowy policjant Komar. I Bucki sterczał w umówionym miejscu, oczekując posłańca. We wsi zaś wrzało. Uciekinierzy z Bukowca, którzy stanęli tu furmankami na przeczekanie, wyjeżdżają dalej do następnej wioski, bo im się wydaje, że tu

nie dość jeszcze bezpiecznie, tym bardziej, że pogłoska o możliwej wizycie żandarmów z powodu nocnej strzelaniny zajrzała już do każdej chałupy. Miejscowi zaś, nawet krewniacy skwapliwie pomagali im w zaprzęganiu, żeby się pozbyć, być może grzechu. Wszak goście z Bukowca są na pewno przestępcami. Prawie cała wieś była w to zamieszana, że żandarmów upili. Jędrusie? A, ci to z pewnością dla broni się zjawili. Tak czy owak, daj Boże, żeby obcych we wsi nie było, to może badanie przejdzie lżej, gdy nic podejrzanego żandarmi nie znajdą.

Będzie — myślała znowu zniechęcona Bucka — zupełnie podobnie jak wtedy, gdy spalili Wyrobka z Bugaju. Gospodarka, jak perła, a te pobudynki! Czy kto bronił, albo radził? Michel się podeprze motyką i będzie urągał. He, he, he. Zachciało mu się polityki.

— Idźże, Stasiu z krowami. Kiedyż wyżeniesz, jak słońce zajdzie?

Dzień się dłuży, gdy obawa przed nieszczęściem, które ma nadejść, zakorzeni się i rośl, zatruwa, szarpie myślami to tam, to tu. Czy wystarczy, gdy wszystko zastaną według prawa? Gorzej z tym, że nie zastaną. Co trzeci dom chowa świnie bez kolczyków. Pogubiły? Tak? Dlaczego nie wszystkie pogubiły. A tu biała mąka skąd? Pokwitowanie za kontyngent okazać. Gabryś czuł się spokojny, bo wymędrkował, że wiadomo, kto winien i polityków załapią, nikogo więcej. Od kontyngentów jest przecież ten gruby z Teresina, a nie żandarmi. Czy miał Gabryś słuszność?

Przez wieś coraz przemykał się ktoś na rowerze. Nie tytoniarze, ale jacyś inni ludzie szukają tu przed wieczorem interesu, chociaż nigdzie nie wstępują.

Zmierzch pomalutku gęstnieje. Mgiełka od łąk paruje leniwie, trzymając się niższych miejsc. Szarzeje i ciemni się pod pagórkami. Z tamtej strony wsi, gdzie wiodła droga na Bukowiec, zaszczekał karabin maszynowy pierwszy raz. Ucichł i nie powtarza się nic takiego. Kiedyindziej słychać o tej porze szczekanie psów, porykiwanie bydła i gesi jazgot, a w obejściu kwik świń i chrząkanie. Dlaczego dziś ucho ludzkie unika codziennych dźwięków, oczekując na inne? Psy Buckiego zerwały się znowu ku drodze z wrzaskiem. Matko Boska — zadygotała gospodyni — pocośmy to prosię zabijali? Zakopać. Pomoże to? Nie oni, to ludzie wybiorą z dołu.

— Mama — wpadł Staś — rakiety puszczają! Z trzech stron!

— A, cóż tam rakiety, dziecko. Wylećże za ojcem może do sklepu.

Zanim chłopiec się namyślił, ojciec wszedł do izby. Zmieniony bardzo i milczący. Ułamał chleba z kromki i pochlipując żurem, zda się z posiłkiem przygryzał ostatnie wiadomości. Był posłaniec z niedobrą kartką od Komara. Lecz posłańców widziało się we wsi więcej i dopiero to przyniosło Buckiemu ulgę. Przed południem, gdy tyle zaledwie wiedział, że posterunek otrzymał doniesienie z jego nazwiskiem, poczuł się zupełnie samotny, a pielęgnowany karabin gotów byłby wyrzucić w gnój. Sobczyk. Tak. Źle zrobił. Ale przecież o jabłka nie wolno się zdradzać, bo za to od swoich poniesie karę. Druga kara od Niemców. Z tej matni nie było wyjścia, chyba ucieczka i porzucenie wszystkiego w domu na pastwę losu. W same żniwa. Wyczekując posłańca przeżył taką rozterkę, jaka mu się jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyła.

I teraz wszystko się odwraca na dobre. Żandarmi uderzą w całą okolicę naraz. Chłopi zaś wyjdą przed nich w zboża nad drogami. Myśląc o tym Bucki uniósł głowę z nad miski, patrzy na Stasia i na Bronkę. Wąsy się ruszają, jakby nakrywały połykany kęs chleba i przytakują za szczękami.

Wreszcie skończył, zmiótł ręką okruszyny ze stołu. Patrzy znowu dziwnie na dzieci i na matkę, szczęśliwy, że go o nic nie pytają.

— Nie ruszajcie się z domu, choćby wszyscy uciekali. Pilnujcie aż wrócę... — i pośpiesznie chwyciwszy czapkę wychodził.

— A, a, a, gdzież idziesz — pyta kobieta przez łzy. — I wszyscy troje zaczęli płakać, aż Józka, która wracała od dojenia stanęła wryta na progu.

— Co się stało? — i przyłączyła się do nich.

Edward Marzec

Dyskusja o poezji

Witold Wirpsza

O WŁAŚCIWY STOSUNEK DO TRADYCJI

Ponieważ w artykule Mieczysława Jastruna „Spór o poezję“, w artykule Jerzego Ciosa, zamieszczonym w jednym z dawniejszych numerów „Wsi“ oraz w artykule Lecha Budreckiego „Tylko tradycje ostatniej daty“ znalazło się kilka uwag, świadczących o tym, że stosunek poetów młodszego pokolenia do tradycji kulturalnej został (sądzę, że w dobrej wierze) przez wszystkich trzech autorów całkowcie fałszywie zrozumiany, uważam za konieczne napisać tych kilka słów wyjaśnienia.

Zacznę od sprawy epigonizmu, która posłużyła Jerzemu Ciosowi za pretekst, aby mnie pouczyć, jakiego to mianowicie nowatorstwa potrzebuje dzisiaj klasa robotnicza. Później cały ten ustęp został zacytowany przez Jastruna w jego artykule — strzały, przyznam, bardzo celne — ale do papierowej tarczy. Jeśli występowałem przeciw epigonizmowi, to nie wskazywałem bynajmniej na oderwanie się od tradycji, jako na odtrutkę. Chodziło mi o coś zupełnie innego.

Stosunek do tradycji może być dwojaki: może być twórczy — i może być mechaniczny; w tym drugim wypadku jest epigonizmem. Wyjaśnijmy to na przykładach.

Sięgnę do tematu, bliskiego jednemu z moich oponentów: jeśli Jerzy Cios, jak to wynika z szeregu zamieszczonych we „Wsi“ artykułów, naprawdę dobrze zna się na muzyce Chopina, to wie z pewnością, jaki był stosunek kompozytora do Jana Sebastjana Bacha. Chopin wiele się od Bacha nauczył i wiele jego zdobyczy muzycznych (etiudy!) wywodzi się w prostej linii ze zdobyczy muzyki wielkiego kantora z lipskiej Thomaskirche. Ale nigdy się chyba dotychczas nie zdarzyło, aby miłośnik muzyki, słuchając jakiegoś utworu Chopina, zawołał: „No, moi państwo, ależ to czysty Bach“!

To jest — w wielkim skrócie — dowód genialności Chopina na jednym tylko odcinku, stanowiąc kalsyczny przykład twórczego stosunku do tradycji. Chopin, zaczerpnąwszy z wielkiej spuścizny Bacha, stworzył całkowicie odmienny język muzyczny, będący odbiciem całkowicie odmiennej epoki.

Drugi przykład: poezja Pabla Nerudy. Panuje powszechne (i, sądzę, częściowo uzasadnione), przekonanie, że Neruda jest kontynuatorem Withmanna. Sądzę jednak, że o wiele bardziej istotną rzeczą byłoby wskazać, jak wielkie pokrewieństwo łączy Nerudę z wielkimi monologami politycznymi i z chórami dramatów królewskich Szekspira. Pokrewieństwo, ale nie podobieństwo. **Oparcie się o tradycję** szekspirowską, **ale nie naśladowanie** Szekspira. Nie ma tu mowy o tzw. „wpływologii“. Przeciwnie: Neruda stworzył w nawiązaniu do Szekspira nawskroś współczesny język poetycki.

A oto fragment wiersza pewnego współczesnego poety:

> Grecjo Byrona! U twych skał
> Korzy się morze jak przed wiekiem;
> Wzdyma się czarnopienny wał,
> Na brzegu klęka przed człowiekiem.

Pierwsza reakcja czytelnika: „Oho, tu dźwięczy coś znajomego!“ — i po chwili refleksji: „Już wiem! Ależ to czysty Puszkin!“ Kto zaś dobrze zna Eugeniusza Onegina, deklamuje sobie w duchu frywolne strofy:

> Lubliu ja morie pried grozoju,
> kak ja zawidywał wołnam,
> bieguszczym burnoj czeredoju
> s lubowiu liecz k'jej nogam...

Sądzę, że na tym dyskusja w sprawie epigonizmu jest chyba zamknięta. Wydaje mi się ponadto, że jestem w tej materii zgodny z moimi oponentami. Jedno tylko pytanie pod adresem Jerzego Ciosa: jaka poezja lepiej służy walczącej klasie robotniczej — czy poezja Pabla Nerudy, czy poezja mechanicznych naśladowców? I czy zadaniem współczesnego poety nie jest znalezienie, w oparciu o tradycję „od Romulusa do naszych dni“, takiego języka który by w pełni oddał treść czasów, w których żyjemy?

* * *

Przy okazji chciałbym wyjaśnić kilka dalszych nieporozumień, których ofiarą stał się Lech Budrecki, pisząc artykuł „Tylko tradycje ostatniej daty“? Nie wiem, skąd się wziął w tym artykule pomysł, że poeci, którzy zaczęli pisać po wojnie, kontynuują poezję Eliota i Maxa Jacoba? Kto to robi? Różewicz? Bratny? Kubiak? Proszę mi pokazać choć jeden wiersz tych poetów, który byłby nawiązaniem do tego kierunku. (Pragnę się zastrzec: proszę nie cytować moich wierszy, powstałych przed rokiem 1947. Do tego czasu istotnie bowiem byłem pod wpływem poetyki, o której mowa — i, rzecz jasna, nie mogłem wtedy wydobyć współczesnych akcentów politycznych. Proszę także nie cytować poetów, którzy debiutowali i rozwijali się w kręgu wpływów redakcji „Kuźnicy“ — bo to zupełnie inna sprawa).

Dalej: proszę mi wykazać, że poeci, którzy zabrali głos w dyskusji, toczącej się na łamach „Odrodzenia“, bronili poetyki Eliota, Jacoba i Préverta. Że odwoływali się do kunsztu Rimbauda. Budrecki użył zwrotu „milczący apel“. Jedno nieporozumienie więcej!

A sprawa Awangardy? Jestem ciekaw, skąd się to wzięło w naszej dyskusji? Praktyka poetycka młodego pokolenia wyraźnie wykazuje świadome odchodzenie od tradycji i postawy Awangardy. Hasło odmetaforyzowania wiersza, wiersze, operujące przeważnie „suchym“ obrazem poetyckim, unikającym figuracji i pozbawionym tego, co Irzykowski nazywał „kosmiczeniem“ — są najlepszym tego dowodem. Ta praktyka poetycka ma zupełnie inne tradycje. Z polskich — poezja „mówiona“ Adama Mickiewicza; prócz tego proszę sobie przeczytać jeden z listów do matki Juliusza Słowackiego, w którym poeta pisze, że chciałby, aby jego poezja była „gadana“. Z obcych — „Pieśni zwycięskie“ Pindara, gdzie stary Grek używał języka, zbliżonego do dzisiejszych komunikatów sportowych — czy choćby monologi Szekspira, o których była mowa poprzednio. Oczywiście, że sięganie do tych tradycji nie oznacza w żadnym wypadku jakiegokolwiek zamiaru naśladowania.

Ostatnim wreszcie nieporozumieniem, tym razem słownikowym, jest sprawa „pseudoklasyczności“. Otóż ja rozumiem pod tym słowem sięganie do gotowych już wzorców poetyckich, uformowanych w innym czasie i przez treści klasowo obce lub wręcz wrogie. „Klasyczność“ bowiem, to nic innego, jak osiągnięcie dojrzałości na danym etapie rozwojowym. Innymi słowy, epitet „pseudoklasyczność“ pokrywa się częściowo z epitetem „epigonizm“. Że użycie tego terminu wywołało nieporozumienie, jest oczywiście winą tych wszystkich, którzy go używali bez komentarza — a więc i moją. Z tego mojego wyjaśnienia wynika jednak chyba dosyć jasno, że rzekomy mit o poetach „pseudoklasycznych“ nie jest mitem, tylko rzeczywistością. A rzeczywistości nie można rozwiać.

Nie chciałbym przez to wszystko powiedzieć, że poezja młodego pokolenia osiągnęła wszystkie te cele, które przed nią stawia współczesność. Dlatego też zakończę ten polemiczny artykulik cytatą z Goethego, którego dwusetną rocznicę urodzin będzie obchodził w sierpniu br. cały cywilizowany świat:

„...dziś pragniemy wciąż jeszcze być dobrymi pisarzami i artystami, jak kilkaset lat temu; środki jednakże, jakimi się cel osiąga, nie każdy sobie dobrze uświadamia i dlaczegóż mielibyśmy zaprzeczyć, że najprzyjemniej byłoby wykonać wielki zamiar z dziecinną łatwością“.

Jerzy Cios

WALKA Z „PSEUDOKLASYCYZMEM“

Dyskusja o poezji trwa w dalszym ciągu. Mamy już nowe jej odgłosy. Tym razem możemy szukać ich w artykule Witolda Wirpszy: „O właściwy stosunek do tradycji“ stanowiącym replikę na szereg wypowiedzi (między innymi i na moją), replikę, która miała widocznie na celu sprostowanie całego szeregu nieporozumień. Zobaczmy tedy, do czego sprowadza się ta interpretacja, jakie kwestie porusza i jak je objaśnia. Wydaje mi się, że w rozważanej przez nas wypowiedzi trzy sprawy autor uznał za najważniejsze, za kluczowe dla dalszej wymiany zdań. Są to: problem epigonizmu, problem tradycji „młodej“ poezji i wreszcie wyjaśnienie znaczenia terminu pseudoklasycyzm uważanego za zawołanie bojowe z jednej strony, kwestionowanego z drugiej. Zajmijmy się kolejno każdym z tych zagadnień.

A więc epigonizm... Wirpsza wyróżnia dwa typy stosunku do tradycji: mechaniczny i twórczy, zalecając np. „oparcie się o tradycję szekspirowską, ale nie naśladowanie Szekspira“. Zgoda, nikt temu nie przeczy. Wszyscy chyba w tym miejscu wykażą podziwu godną jednomyślność. Ale tu od razu pojawia się trudność, której młody poeta nie potrafił przezwyciężyć. Jaki jest wyróżnik epigonizmu? Po czym się epigonizm poznaje? Sposób obrazowania, technika rymu, strona znaczeniowa czy też rytmiczna wiersza? Znajdźmy wreszcie klucz do tego wszystkiego. Dowiedzmy się, jak poznać mechanicznego naśladowcę, by potem wskazać nań, by mu to udowodnić. Na dobrą sprawę bowiem, biorąc artykuł Wirpszy za wytyczną, nie można by przeprowadzić proponowanego przezeń podziału odnośnie jakiejś epoki w historii literatury. A to wszystko z tej przyczyny, że nie zdefiniowano podstawowego pojęcia. Owszem, dano nam rzekomy przykład epigonizmu. Wyjęto zwrotkę z wiersza współczesnego poety, zestawiono ją ze zwrotką puszkinowskiego „Eugeniusza Onegina“ i orzeczono: „naśladownictwo“. Niestety, taki dowód ad oculos, nie bardzo przekonuje. Sądzę, że należałoby wpierw wskazać na zbieżności i dowieść, że są one rzeczywiście rozstrzygające. A zresztą dla jakich powodów podobna świadoma aluzja do dawnego utworu poetyckiego miałaby być z miejsca dyskwalifikowana.

Ale w uwagach Wirpszy odnośnie stosunku do tradycji zaniepokoiły mnie jeszcze inne miejsca. Mianowicie brak selekcji minionych wartości artystycznych. Mówi się o tradycji i to tradycji „od Romulusa do naszych dni“, nie wybierając w niej epok, pisarzy, dzieł, do których należałoby nawiązać. To już zgoła niebezpieczne. Nowa poezja ma się rodzić w oparciu o wszystko, co napisano od Homera do lettrystów? Wydaje mi się, że selekcja stylów poetyckich, z których mamy czerpać, w których mamy doszukiwać się pozycji „żywych“, winna odbywać się bardziej ostrożnie. Wirpsza bowiem proponuje, jeśliby wyciągnąć wszystkie konsekwencje z jego sformułowań, sięgnięcie tak do Ariosta jak i do Mallarme'go, tak do Majakowskiego jak i do Ezry Pound. Naturalnie przejmować będziemy twórczo! Ale jak? Jak trzeba dzisiaj adaptować twórczo Norwida czy Puszkina, czy wreszcie Goethego? Brak odpowiedzi.

A oto zaczyna się gwałtowna polemika ze mną. Wirpsza nie wie, skąd wziął się pomysł, że poeci, którzy zaczęli pisać po wojnie kontynuują poezję Eliota i Max Jacoba. Wirpsza wyraźnie stwierdza, że młodzi poeci nie bronili w dyskusji która toczyła się na łamach „Odrodzenia“, poetyki Préverta i Rimbauda, Wirpsza widzi na koniec w twórczości „młodych“ całkowity rozbrat z Awangardą. Odwołujemy się do faktów. Już chciałem zacytować strofy noszące wyraźnie wpływ obrazowania Jacobowskich poematów, kiedy wstrzymała mnie nagle klauzula mego oponenta. Otóż nie wolno powoływać się na przykłady „młodych“, którzy debiutowali i rozwijali się w kręgu wpływów redakcji „Kuźnicy“. A to niby dlaczego? Czy to nie poeci? Czy ktoś drukujący wiersze w „Kuźnicy“ automatycznie starzeje się i przeobraża? Czy wreszcie „Kuźnica“ to siedlisko wstecznictwa estetycznego? Zupełnie nie rozumiem. A przyznaję się, chciałem przywołać przykłady zaczerpnięte z wierszy Radka, Brauna i Gruszczyńskiego. Ale skoro nie można, skoro o nich nie wolno w ogóle mówić...

Młodzi poeci podobno nigdy nie bronili Préverta. A przecież Bratny widział nowatorstwo Różewicza w jego sprozaizowanym języku. Takim właśnie językiem przed wojną już operował Jacques Prévert z czego nie wynika jednak, aby zaraz ustalać tu jakieś związki wpływologiczne.

Odejście od Awangardy? Zgoda, nigdy nie twierdziłem, że wśród wszystkich debiutantów ostatnich kilku lat straszy cień Peipera. Ale czy rzeczywiście walka z figuracją? Czy praktyka artystyczna każdego z „młodych“ potwierdza hasło odmetaforyzowania wiersza? U Różewicza w znacznej mierze tak, ale u innych? Rozejrzyjmy się w materiale, poczytajmy trochę:

> „Z góry prowadzi srebrna szyna błyszczącej
> kropli lipcowej
> — będzie deszcz, deszcz będzie spadał...
> Krople! Na huśtawce gwizdu wilgi
> chmurka blada“.
> Roman Bratny
> („Spacer po pogromie“)

> „...Smakujcie jabłko Cézanne na ulicy
> Menil-Montant,
> Którego kolor zalewa ulice jak morze!
> (Jedynie ostrygi wiedzą o morzu tyle,
> Że wypełnia im muszle).
> W cztery ramy obrazu stąd droga prowadzi,
> gdzie kolor
> — Nie wiedząc — sprzedają na wagę“.
> Zbigniew Stolarek
> („Jabłko Cézanne'a“)

> „Ślad podkowy
> Twój herb
> Znałeś miękkość żelaza
> Lecz gorejące kwiaty
> Zaostrzyły się w czerń“
> Marian Jachimowicz
> („Ojcu“)

Przypuszczam, że na podstawie tych przykładów można wyciągnąć bardzo prosty wniosek. Nie ma co mówić o jakimś genialnym odejściu od tego typu chwytów poetyckich, które postulowała Awangarda, o wyrzeczeniu się ich przez całe młode pokolenie. U poszczególnych poetów znać dążenie pozbycia się ich, ale dlaczego od razu mówi się, że znać je u wszystkich? Przestańmy nareszcie posługiwać się mitem jakiejś jednolitej „młodej“ poezji. (Sam zawiniłem tu niemało). Spróbujmy je jakoś podzielić, poklaskiwać, a wtedy zobaczymy, że Jachimowicz różni się bardzo od Bratnego, a Bartelski od Różewicza.

No i pseudoklasycyzm! Okazuje się, że termin ten częściowo pokrywa się z terminem epigonizm. Ale znów pytania, które stawialiśmy uprzednio wracają tym razem ze zdwojoną siłą. Tu jednak mamy już na nie odpowiedź. Wirpsza pisze przecież wyraźnie: „Otóż ja rozumiem pod tym słowem (pseudoklasycyzm — przypisek mój L. B.) sięganie do gotowych już wzorców poetyckich uformowanych w innym czasie i przez treści klasowo obce lub wręcz wrogie“. W takim razie ma rację, twierdząc, że pseudoklasycyzm w naszej poezji współczesnej nie jest dziełem wyobraźni, lecz rzeczywistością. I dlatego pragnąłbym, by podjęto nareszcie walkę z pseudoklasycyzmem Jachimowicza i innych kontynuatorów symbolizmu, z pseudoklasycyzmem wielbicieli kunsztu Jana Cocteau i międzywojennej Awangardy.

Mieczysław Bodalski

NOWY STATUT ZSCh.

Dokąd istnieć będzie w przeważającej ilości drobnotowarowa gospodarka chłopska i dokąd będzie mieć miejsce kapitalistyczny wyzysk na wsi, dotąd jest uzasadnione istnienie Związku Samopomocy Chłopskiej, jako organizacji, wiążącej interes drobnotowarowego chłopa-wytwórcy z perspektywami socjlistycznej przebudowy wsi. Wszelkie inne, likwidatorskie tendencje byłyby dowodem braku perspektywy, i w skutkach szkodliwe dla pokonania niemałych trudności i zrealizowania olbrzymich zadań, jakie przed wsią i naszym systemem demokratycji ludowej stoją w tej chwili do wykonania.

Spółdzielczość wiejska ma za zadanie przede wszystkim służyć interesom biednych i średniorolnych chłopów, którzy winni nią kierować, zgodnie ze swymi potrzebami i zgodnie z interesem państwa ludowego. Równocześnie spółdzielczość wiejska winna handlować także z bogaczem wiejskim, winna od niego kupować i sprzedawać mu. Towarowość wiejskiego bogacza musi rozwijać się pod kontrolą tej spółdzielni, pod naszą kontrolą po to, by nie rozwijała się w prywatnej inicjatywie, w podziemiu gospodarczym i co za tym idzie — w podziemiu politycznym. I dlatego spółdzielczość służy mało- i średniorolnym chłopom i utrzymuje stosunki gospodarcze z wiejskimi kapitalistami. Dlatego bogaty chłop winien być członkiem spółdzielni, natomiast nie powinien znajdować się we władzach spółdzielni i nie powinien być na pierwszym miejscu, gdy chodzi o przydział nawozów sztucznych, kredytów i innych tzw. deficytowych towarów.

Rola i istnienie Związku Samopomocy Chłopskiej nie mogą być oderwane od przemian, jakie na wsi zachodzą, jakie zachodzą w naszym systemie, w naszej demokracji ludowej, ale winny być ściśle z nimi powiązane.

Dlatego konieczność rozszerzenia społeczno - politycznych zadań Samopomocy Chłopskiej na wsi nie tylko nie zmniejsza, ale zwiększa wyraźnie działalność Związku Samopomocy Chłopskiej na tym etapie rozwojowym.

W projekcie nowego statutu ZSCh **) został po pierwsze, określony **klasowy** charakter Związku Samopomocy Chłopskiej, o czym mówi paragraf 1 statutu: „Związek Samopomocy Chłopskiej jest masową, bezpartyjną organizacją, stojącą na gruncie sojuszu robotniczo-chłopskiego, realizującą zadania demokracji ludowej i reprezentującą interesy chłopów mało- i średniorolnych".

Stary statut w § 5 punkt 1 określał charakter ZSCh, jako „Zrzeszenie wszystkich chłopów w jednolitej organizacji zawodowej, realizującej zasady PKWN".

W punkcie 2 § 2 stary statut, jako zadanie dla ZSCh stawiał „przebudowę wsi dla urzeczywistnienia ustroju rolnego, opartego na silnych, zdrowych i zdolnych do wydatnej produkcji w gospodarstwach chłopskich, stanowiących prywatną własność ich posiadaczy".

My obecnie przyjęliśmy w projekcie, że „Związek Samopomocy Chłopskiej organizuje wsie samopomocowe, przodujące pod względem techniki rolniczej, rozwoju spółdzielczości i uświadomienia społecznego, organizuje pokazy, wystawy i konkursy rolnicze".

W takim sformułowaniu — nowej organizacji pracy wsi, nadajemy charakter społeczny, zbiorowy i wychowawczo - postępowy. Wobec faktu organizowania przez chłopów spółdzielczości produkcyjnej, bierne ustosunkowanie się ZSCh byłoby wsteczne i niegodne postępowej roli Związku jaką winien on w tej akcji odegrać.

Dlatego w części drugiej statutu, określającej działalność Związku, punkt 6 mówi: „Związek Samopomocy Chłopskiej opiekuje się tworzonymi dobrowolnie przez chłopów spółdzielniami produkcyjnymi, udzielając im wspólnie z Centralą Rolniczą Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" pomocy instruktorskiej, prawnej, organizacyjnej, gospodarczej i kulturalnej".

Rzecz jasna, że to nie wyczerpuje zadań, jakie ZSCh ma do wykonania w zakresie pomocy dla tworzącej się spółdzielczości produkcyjnej w przyszłości. Nowe zadania, nowe formy pracy i pomocy spółdzielczości produkcyjnej wysunie samo życie i w zależności od konkretnej sytuacji, jaka zaistnieje, formy te będziemy kształtować, formy te Związek będzie dostosowywał i realizował.

Drugim bardzo istotnym elementem, stanowiącym nowość w projekcie statutu, jest wysunięcie obok **współpracy** również **kontroli** jako zadania dla Związku Samopomocy Chłopskiej nad działalnością społeczno - gospodarczą spółdzielni.

Na potwierdzenie tego, że w Związku Samopomocy Chopskiej jest olbrzymia baza dla pracy społecznej, dla pracy politycznej, trzeba przytoczyć cyfrę 112.000 nowych członków ZSCh,którzy wstąpili do Związku w okresie kampanii wyborczej od 1 listopada 1948 r. do 1 marca 1949 r.

Te 112.000 nowych członków, to mało- i średniorolni chłopi, którzy wstąpili do ZSCh nie dlatego, że rozdawaliśmy w tym okresie konie z dostaw UNRRA, czy z innych dostaw zagranicznych, ani dlatego, że rozdawaliśmy mąkę z pomocy przednówkowej, bo jej nie rozdawaliśmy w tym czasie, wstąpili dlatego, że dotarliśmy do gromad organizacyjnie, że w akcji wyborczej, (aczkolwiek posiadała wiele braków i niedociągnięć, które stwierdzamy obiektywnie), pomogliśmy chłopom biednym i średniorolnym wziąć udział w wyrzucaniu z zarządów gromadzkich i powiatowych wyzyskiwaczy i spekulantów i chłopi biedni i średniozamożni objęli kierownictwo ogniw terenowych ZSCh. Dziś możemy powiedzieć bez frazesów, że oni wzięli w swoje ręce własne sprawy, żeby zgodnie z interesami demokracji ludowej właściwie nimi kierować.

*) Fragmenty referatu.

**) Projekt przedłożony na Kongresie delegatów ZSCh w dn. 3, 4, 5 marca br.

Prof. Dr Tadeusz Hilarowicz

Sprawa wyższej szkoły korespondencyjnej

Artykuł Józefa Barteckiego pt. „Wyższa wiedza dla ludzi na prowincji", zamieszczony w nr 12 pisma „Wieś", zainteresował mnie w wysokim stopniu ze względu na to, że mam już za sobą pewne doświadczenia na polu realizacji projektu wyższej szkoły o charakterze korespondencyjnym. W kwietniu r. 1945 założyłem w Łodzi uczelnię, która z początku nosiła nazwę Akademii Służby Publicznej, a niebawem przyjęła nazwę Wyższej Szkoły Nauk Administracyjnych, a która oprócz oddziału łódzkiego, gdzie uczęszczali słuchacze zamieszkali w Łodzi, zorganizowała także oddział ogólnopolski korespondencyjny, który objął stopniowo przeszło 2.000 słuchaczów z całej Polski. Pełniłem obowiązki rektora tej uczelni od chwili jej założenia do końca czerwca r. 1946. Gdy organizowaliśmy oddział korespondencyjny, z miejsca zdawałem sobie sprawę z tego, że ta nauka korespondencyjna, choćby w latach następnych, musi być oparta o ścisły kontakt z wszystkimi wyższymi uczelniami typu prawno-administracyjnego (Wydziały Prawne Uniwersytetów, akademie handlowe, wyższe szkoły administracyjno-handlowe) w całej Polsce i że najwłaściwszym będzie taki system, że Wyższa Szkoła Nauk Administracyjnych jako taka rekrutuje słuchaczów, czuwa nad zdawaniem przez nich egzaminów, zaopatruje ich w skrypta itd., ale że bezpośredni nadzór pedagogiczny nad postępem wiedzy słuchaczów korespondencyjnych musi należeć do profesorów różnych szkół wyższych w całej Polsce na zasadzie kompetencji regionalnej.

W szczególności zależnie od miejsca zamieszkania studentów profesorowie odnośnej szkoły wyższej jeżeli nie od początku to przynajmniej od drugiego roku odbywaliby z nimi kollokwia i egzaminy, odbywaliby z nimi sami lub przy pomocy swoich asystentów repetytoria i od czasu do czasu zbieraliby ich na pewne wykłady żywe o charakterze wskazówek kierujących ich samokształceniem się z otrzymanych przez nich skryptów i podręczników itp. Rzecz oczywista, że słuchaczom korespondencyjnym byłoby daleko łatwiej przyjeżdżać do pewnego bliskiego centrum, kilka razy na rok czy nawet raz na miesiąc, niż do jednego miejsca w całej Polsce, w tym wypadku do Łodzi; zaznaczyć tutaj muszę, że słuchacze korespondencyjni Wyższej Szkoły Nauk Administracyjnych rekrutowali się z terenu całej Polski, dosłownie od Szczecina po Kładzko i Przemyśl. Wyższa Szkoła Nauk Administracyjnych miała za zadanie umożliwić ukończenie studiów wyższych o typie prawno - ekonomiczno - administracyjnym przede wszystkim czynnym pracownikom administracji publicznej różnych działów. Jednakowoż system ten nie został przyjęty, gdyż musiałby pociągnąć za sobą wyrzeczenie się przez środowisko łódzkie monopolu egzaminowania.

Charakter korespondencyjny słuchaczy z całej Polski ograniczył się do tego, że otrzymywali oni skrypty z Łodzi, uczyli się z nich samodzielnie i przyjeżdżali do Łodzi zdawać egzaminy, niektórzy raz na rok, niektórzy trochę częściej, ale w każdym razie przyjeżdżali tylko po to, żeby złożyć w Łodzi egzaminy. Mieli oni indeksy takie jak słuchacze łódzcy i profesorowie podpisywali im, że uczęszczali na wykłady, co jawnie nie było zgodne z rzeczywistością, bo profesor i słuchacz wiedzieli dobrze, że ten ostatni na wykłady nie uczęszcza. Jeszcze w końcu roku 1947 próbowałem uratować tę zasadniczą ideę właściwego systemu wyższej szkoły korespondencyjnej i z zachęty Miniserstwa Oświaty (w szczególności ob. wiceministra Eugenii Krasowskiej i p. o. dyrektora Departamentu Szkół Wyższych dra J. Marowskiego) zorganizowałem ogólnopolski komitet opiniodawczy, w skład którego weszli między innymi profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego (J. S. Langrod i W. Wachholz), Uniwersytetu Poznańskiego (prof. dr A. Ohanowicz), Uniwersytetu w Toruniu (prorektor, obecny rektor prof. dr K. Koranyi), wyżsi urzędnicy Ministerstwa Administracji Publicznej, przedstawiciele Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Samorządu Terytorialnego i inni fachowcy. Wszyscy zgodzili się na to, że jedynym właściwym systemem jest oparcie kształcenia korespondencyjnego o pomoc terenową profesorów uczelni w różnych centrach Polski. (Zarys takiego systemu przedstawiłem w moim artykule, drukowanym w „Kurierze Codziennym" w lutym r. 1948).

Okazało się jednak, że już nie dało się zmienić odmiennego, niewłaściwego systemu, fikcji rzeczywistego kształcenia korespondencyjnego. Toteż temu należy w szczególności przypisać, że Ministerstwo Oświaty pozwoliło na funkcjonowanie tej uczelni tylko do końca roku akademickiego 1948/49, tak, że uczelnia ta za kilka miesięcy kończy swój żywot.

W związku z powyższym ogromnie ucieszył mnie artykuł ob. Barteckiego i nie mam dosyć słów zachęty, aby w razie organizacji wyższej uczelni korespondencyjnej, obejmującej dział matematyczno-przyrodniczy i humanistyczny z dodaniem historii społeczno-gospodarczej i socjologii, jak to proponuje kol. Bartecki, **przyjąć bezwzględnie drugą z koncepcji organizacyjnych** zaproponowanych przez ob. Barteckiego, tzn., że Akademickie Studium Korespondencyjne działałoby w oparciu o istniejące w Polsce uniwersytety (dodajmy i inne szkoły wyższe). Poddaję pod rozwagę kol. Barteckiego, czy nie byłoby wskazane — nawet specjalnie **ze względu na nauczycielstwo wiejskie** — stworzenie w takiej wyższej szkole korespondencyjnej działu prawno-administracyjnego wobec tego, że nauczyciel może zostać inspektorem szkolnym, urzędnikiem Kuratorium okręgu szkolnego czy Ministerstwa Oświaty. Na wszystkich tych stanowiskach a także przy pracy nauczyciela **w samorządzie** (członkostwa Rad Narodowych) wiedza prawno-administracyjna może się okazać bardzo potrzebną.

Za koncepcją tą przemawiają wyżej wskazane przeze mnie doświadczenia Wyższej Szkoły Nauk Administracyjnych. Uczelnia ta niewątpliwie na dużym odcinku spełniła swoje zadanie, bo zaspokoiła pragnienie wiedzy licznych rzesz urzędniczych z całej Polski, którym nie było dane ukończyć poprzednio studiów wyższych.

Administracja publiczna w ogóle a administracja spraw oświatowych w szczególności, jak każda żywa działalność, idzie ku lepszemu w ogniu prób i doświadczeń. Żadne doświadczenie nie jest bez wartości, a więc nawet negatywne, bo może ono stanowić znakomitą podstawę do przyszłej działalności pozytywnej.

„Dom Dziecka" w jednym z poziemiańskich pałaców. (Fot.: Kraska)

Tadeusz Papier

Sprawa robotnika, chłopa i pisarza

(Z okazji pierwszego zeszytu „Teatru Ludowego")

Ruch łączności

Ukazał się pierwszy numer XXXV rocznika „Teatru Ludowego". Po raz pierwszy jako wydawca figuruje Związek Samopomocy Chłopskiej, który po dokonanej w grudniu 1948 r. reorganizacji TUR i TUL przejął po tym ostatnim działalność oświatowo - artystyczną na wsi.

„Teatr Ludowy" spełniał zawsze funkcję książki dokształcającej i warsztatowej dla kierowników świetlic i reżyserów ochotniczych zespołów teatralnych i tę funkcję zatrzymuje nadal. Dociera przede wszystkim do przodowników pracy kulturalnej. Zmieniają się jednak warunki społeczne, gospodarcze i polityczne i w związku z tym zmienia się funkcja „Teatru Ludowego".

W chwili obecnej około 300 fabryk w Polsce utrzymuje bezpośredni kontakt z określonymi gromadami i gminami na płaszczyźnie gospodarczej, politycznej i kulturalnej. Ten ruch zwany **ruchem łączności fabryk ze wsią** rozpoczął się kilka miesięcy temu. Zaczęło się od remontu maszyn w ośrodkach maszynowych, od lutowania i naprawy sprzętów i narzędzi gospodarskich na wsi, skończyło się zaś na organizacji świetlic i przedstawień. Naturalnie, że z racji swojego doświadczenia klasowego, robotnicy są stroną instruktywną. „Po przyjeździe do gminy przekonaliśmy się — pisze jeden z robotników „Huty Bankowej" — że to nie będzie tylko „opieka" z naszej strony, ale raczej współpraca, w której pomoc ze strony huty będzie stanowiła bodziec do pchnięcia naprzód pracy na terenie Wołoczyna i okolic wiejskich i to nie tylko w ośrodku maszynowym, ale również w dziedzinie zagadnień społecznych, politycznych i kulturalnych".

Ten ruch łączności fabryk ze wsią stanowi nową formę sojuszu robotniczo - chłopskiego, w której politycznie doniosłą rolę odgrywa wymiana kulturalna zespołów fabrycznych i chłopskich. Ruch ten — jak stwierdza Roman Zambrowski („Życie Partii" nr 2) — nawiązuje „do doświadczeń reformy rolnej, kiedy cechą istotną była bezpośredniość kontaktu fabryk ze wsią, bezpośredniość pomocy ze strony robotników dla chłopów, dokonujących wtedy tej reformy. **Bezpośredniość** jest też pierwszą cechą charakterystyczną nowej formy sojuszu robotniczo - chłopskiego, jakim jest ruch łączności. Forma ta oznacza zarazem podniesienie na wyższy poziom metod, stosowanych w okresie reformy rolnej, kiedy kontakt klasy robotniczej ze wsią — przy całej swej głębokiej rewolucyjności — był raczej doraźny... nowa forma sojuszu nie tylko opiera się na bezpośredniej łączności fabryk ze wsią, lecz zakłada, że łączność ta będzie **stała** i **systematyczna**".

W okresie narastającej walki klasowej na wsi, na najtrudniejszym odcinku tej walki — ideologiczno - kulturalnym — klasa robotnicza znów przychodzi z pomocą wsi. Dla pisma tego typu co „Teatr Ludowy", przeznaczonego w tej fazie dla przodowników kultury, ta nowa forma sojuszu robotniczo - chłopskiego posiada decydujące znaczenie. Wyznacza ona linię polityki pisma, polityki kulturalnej jak i organizacyjnej. Poszerza problematykę, poszerza bazę operacyjną nie tylko w zakresie rozprowadzania pisma, ale i redagowania. „Realizowanie sojuszu robotniczo - chłopskiego w dziedzinie kulturalnej — pisze w b. numerze „Teatru Ludowego" Jadwiga Siekierska w artykule „W obliczu nowych zadań" — wyprowadza kulturę ludową z ciasnych, wiejskich opłotków na szeroki gościniec kultury narodowej, będzie zapładniać kulturę narodową w silniejszym stopniu świeżością, jędrnością, optymizmem sztuki ludowej, a z drugiej strony — elementy ludowe w kulturze, przepojone ideą socjalistyczną — stworzą nowe wartości kulturalne".

Czy realizowanie takiego programu polityki kulturalnej można nazwać „pomniejszaniem roli kultury ludowej...", czy nie jest to właśnie wzniesieniem jej na wyższy szczebel, bo na szczebel narodowy, socjalistyczny? — zapytuje „Teatr Ludowy".

Pisarze — też na front!

„Silniejsze związanie ochotniczych prac artystycznych z bieżącymi pracami narodu na innych odcinkach życia społecznego, gospodarczego, politycznego i oświatowego — pisze nowa redakcja „Teatru Ludowego" w posłowiu do czytelników — powinno przyczynić się do większego ich urealnienia, przez co wzrosłoby ich znaczenie i przydatność społeczna". W innym zaś miejscu dowiadujemy się o dużych brakach repertuarowych teatru świetlicowego. Zdzisław Kwieciński „Powojenny repertuar dla teatrów ochotniczych — Spółdz. Wyd. „Sztuka"), nie wiele wymienia pozycji wartościowych spośród wielu publikacji sztuk teatralnych, jakie ukazały się po wojnie. Ten stan wynika m. in. z niezrozumiałej powściągliwości pisarzy, którzy **nie umieją jeszcze odpowiadać na aktualne zamówienia społeczne**. Jak stwierdza Jadwiga Siekierska — prawie żaden z poważniejszych pisarzy — nie opracowuje montaży scenicznych dla zespołów świetlicowych.

Sprawa zaś jest poważna i pilna. Jeśli „Teatr Ludowy" zapowiada większą aktualizację treści pisma i ściślejsze związanie go z zachodzącymi w Polsce przemianami — to bez szerokiej bazy współpracowników, bez poszerzenia kontaktów z instytucjami społecznymi i politycznymi, z działaczami kultury, pisarzami i poetami — nie wiele będzie mógł zdziałać. Niechże się nie mówi **na próżno** o powiązaniu się pisarza i poety ze środowiskiem robotniczym i chłopskim, o „twórczym udziale pisarza w upowszechnieniu kultury". Trzeba uczyć się pracować z tym rewolucyjnym zapałem, o jakim mówił Lenin, bez niego nie ma zwycięskiej rewolucji.

FAKTY i ZDANIA

List ludu francuskiego

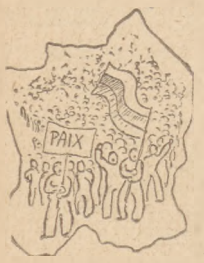

Podajemy treść listu skierowanego przez francuską Radę Krajową Bojowników o Wolność i Pokój do Prezydenta Trumana:

„Panie Prezydencie,

Rząd naszego kraju każe wierzyć ludowi Stanów Zjednoczonych, że Francuzi zgodziliby się pod płaszczykiem Paktu Atlantyckiego na prowadzenie wojny z ZSRR.

Rząd nasz oszukuje Was.

Konstytucja francuska formalnie zakazuje Francji uczestniczenia w wojnie napastniczej. Lud francuski pragnie pokoju; utrzymując wiernie wszystkie swe stosunki przyjaźni, będzie on działać w ten sposób, aby pod żadnym pretekstem kraj nasz nie stał się polem bitwy w takiej wojnie.

Lud francuski ma obowiązek dotrzymania swych zobowiązań wobec Karty ONZ i traktatu sojuszu francusko-radzieckiego.

Aby dotrzymać tych zobowiązań, nie pozwolimy na naszym terytorium zakładać obcych baz, nie wpuścimy obcych garnizonów. **Zachowamy swobodę wstrzymania się od walki, jeżeli wojna wyda się nam zbrodniczą.**

Jak lud Stanów Zjednoczonych, jesteśmy ludem wolnym i trzy razy przelewaliśmy krew, aby zdobyć albo obronić tę wolność.

Wolna Francja sama tylko może decydować o krwi swoich dzieci. Nie może ona decyzji takiej odstąpić cudzoziemcowi.

Dlatego też odmawiamy naszemu rządowi prawa podpisania Paktu Atlantyckiego, przeciwnego zobowiązaniom zaciągniętym przez lud francuski, którym pragnie on pozostać wierny.

Nie będziemy uważać, że ten pakt wiąże Francję. Nie weźmiemy udziału w wojnie.

Zobowiązujemy się do tego uroczyście podpisując ten list".

Pod dokumentem tym widnieją już miliony podpisów robotników, chłopów, inteligencji i uczonych francuskich. W imieniu tych milionów obywateli francuska organizacja „Bojowników o Wolność i Pokój" zgłosiła akces do Światowego Kongresu Obrony Pokoju.

Oto głos **prawdziwej Francji.**

k. m.

Historia się powtarza...

Olbrzymia część przemysłu austriackiego spoczywała przed wojną w rękach obcego kapitału, ściślej mówiąc — wszystkie wielkie banki, w tym Bank Narodowy i poważniejsze instytucje kredytowe — w rękach angieskiego, amerykańskiego i francuskiego kapitału. Natomiast hitlerowskie Niemcy zarezerwowały dla siebie decydujące wpływy w przemyśle stalowym, aluminiowym i lamp elektrycznych, tak, że Austriacy nie mogli np. wyprodukować żadnej większej maszyny bez uzyskania zgody takich koncernów jak I. G. Farben, Siemensa, czy A E G.-koncernu. Praca obcego kapitału na terenie Austrii rozwijała się etapami, począwszy od roku 1918.

A jak jest dziś? Dziś gospodarkę austriacką zmonopolizowały niemal całkowicie kartele: radiowy (wytwórnie radioobiorników i części zapasowych), cementowy, stalowy, skórzany, gumowy i owocarski. Kartele te obracały do niedawna kapitałem pohitlerowskim. Prasa, wydawana przez kapitalisów, jeszcze w ubiegłym roku donosiła o unormowaniu się „wolnej gospodarki" w Austrii, opartej na własnych kapitałach.

Tymczasem dr. Lanske, referent dla spraw polityki przemysłowej w Min Handlu, oświadczył, że europejska współpraca narodów w ramach Planu Marshalla przewiduje udział międzynarodowego kapitału w austriackiej gospodarce.

A więc historia się powtarza. Miejsce wyeliminowanego z konkurencji kapitału „Wielkich Niemiec" zajmie z kolei kapitał amerykański, torujący sobie drogę do Europy przy pomocy Planu Marshalla.

J. S.

Przyjazd i zakaz przyjazdu

W tym czasie, gdy ministrowie państw marshallowskich wyjechali do Waszyngtonu, by podpisać Pakt Atlantycki — Departament Stanu odmówił wiz wjazdowych intelektualistom tych samych krajów na amerykański kongres pokoju. Charakterystyczny zbieg okoliczności. Bevin, Acheson, Schuman, Sforza starają się przekonać swoje narody, że pakt atlantycki jest symbolem przyjaźni między narodami (choć równocześnie ukrywają wszelkie tajne klauzule tego paktu, niedwuznacznie skierowane przeciw wolności narodów). Ale dlaczgo przyjaźń ogranicza się tylko do ministrów? Dlaczego nie pozwala się np. intelektualistom angielskim okazać przyjaźni ich amerykańskim kolegom, którzy współpracę między narodami rozumieją zupełnie inaczej niż p. Acheson, czy p. Bevin? Dlaczego Departament Stanu boi się przyjaźni w obronie pokoju? Po prostu dlatego, że wydał wojnę pokojowi. I obawia się, by idea walki o pokój, która ogarnia coraz szersze, wielosetmilionowe masy we wszystkich krajach, nie zburzyła ich imperialistycznego dzieła. By walka o pokój nie okazała się silniejszą niż walka o wojnę.

Ale cóż? Do kongresu paryskiego zgłosiło akces ponad pół miliarda ludzi, a ileż dziesiątków, czy setek milionów sercem jest z kongresem paryskim, i tylko z obawy przed represjami nie zgłasza oficjalnego akcesu? Czy Departament Stanu może im odmówić wiz? Czy może im zabronić walki o pokój? Wobec tych milionów Departament Stanu jest bezsilny.

N. N.

„Normalna" sytuacja

Jak wynika z oficjalnych statystyk, więcej niż połowa mieszkańców Hiszpanii zatrudnionych w rolnictwie, bo 3.115.265 osób, to robotnicy rolni. Stałą pracę przez cały rok ma jednak tylko 561.512. Reszta pracuje jedynie 70—80 dni w roku, przymierając głodem w okresie pozostałych 9 miesięcy.

Posiadaczy własnej ziemi (na ogół drobno- i średnio rolnych) jest w Hiszpanii 1.823.793, dzierżawców 1.096.632. Cyfrom tym należy przeciwstawić kilkanaście tysięcy wielkich posiadaczy rolnych, w których rękach znajdują się olbrzymie latyfundia (głównie na południu kraju). Rząd frankistowski naturalnie nie śpieszy się z rozparcelowaniem latyfundystów. Woli nakładać na dzierżawców oraz drobnych posiadaczy ziemskich rygorystyczne obowiązki, do których należy nie tylko odstawianie kontyngentów, lecz również przymus dokonywania takich a nie innych zasiewów, bez względu na ich opłacalność. Nic więc dziwnego, że oficjalne czasopismo frankistowskie poświęcone sprawom rolnym „Ceres" pisze w swym numerze z 15 stycznia br.: „Największą radość można by sprawić naszym rolnikom, jeśliby się im powiedziało, że skończyła się interwencja państwowa".

To samo pismo w swym poprzednim numerze stawiało przed swymi czytelnikami niepokojące pytanie: „Dlaczego nie widać wzrostu produkcji? Powody tego są tak liczne, że na wyliczenie ich trzeba by było dużo miejsca. Można je jednak zreasumować w jednym zdaniu: sytuacja w rolnictwie nie jest jeszcze unormowana". Frankistowskie pismo kłamie. Miliony sproletaryzowanych chłopów, obok kilkunastu tysięcy wielkich posiadaczy, ucisk podatkowy i wyzysk — to jest normalna sytuacja. Normalna dla kapitalistycznych stosunków w rolnictwie.

(em)

Dlaczego ks. Piwowarczyk milczy?

Przed niedawnym czasem („Wieś" Nr. 12/191) zamieściliśmy list jednego z naszych czytelników, w którym powątpiewaniu (łagodnie mówiąc) poddano artykuł ks. Piwowarczyka (Tygodnik Powszechny Nr. 10/208). Nasz czytelnik prosił o odpowiedź. Myśmy ze swej strony wyrazili nadzieję, że odpowiedzi udzieli „Tygodnik Powszechny", znając jego skrupulatność polemiczną (przypominamy chociażby, jak zaciekle bronił się ob. Jakub Zdrój przeciwko naszej drobnej nocie). Ale nadzieja nasza — jak dotąd — jest płonna. Milczy i ks. Piwowarczyk i „Tygodnik Powszechny". Milczy podobnie jak cały Kościół katolicki na oświadczenie rządu o stosunku państwa do Kościoła.

To milczenie ks. Piwowarczyka i „Tygodnika Powszechnego" jest znamienne. Bo milczenie oznacza często uznanie racji przeciwnika. A więc — powtórzymy — ks. Piwowarczyk owijał po prostu sprawę w bawełnę mówiąc o wielkich funkcjach moralnych Watykanu, o krzewieniu przezeń kultury i etyki. Watykan jest od kultury i etyki tak samo odległy — jak Waszyngton, z którym tak ściśle dziś współpracuje. Istotna funkcja Watykanu ukrywa się w tej polityce, którą tak plastycznie nakreślił Manhattan, we współpracy z imperializmem, we wrogości wobec narodów i demokracji. Czy nie tak, proszę księdza? Jeśli nie ma racji Manhattan — to skąd tak misterne — rzeczywiście misterne — milczenie? Czy wynika ono ze wstydu czy z niemożności oponowania — nie wiemy!

K. S. M.

„Danzig Germany"

Jeden z punktów oświadczenia rządu R. P. na temat stosunków pomiędzy państwem a Kościołem mówi o uregulowaniu granic diecezji zgodnie z nowym podziałem administracyjnym państwa. Tymczasem... granice obecnej gdańskiej administracji apostolskiej pokrywają się z granicami byłego „Freie Stadt Danzig".

„Wiemy, co jest powodem tego stanu rzeczy — pisze „Trybuna ludu" (Nr 87). Watykan, który nie od dziś dał się poznać jako orędownik powrotu naszych Ziem Odzyskanych do Rzeszy i interweniował swego czasu w obronie Spl ta, potwierdza tym, że nie uznaje przyłączenia Gdańska do Polski. Z tego samego powodu listy wysyłane z Watykanu przez Kurię Rzymską do kancelarii biskupiej w Gdańsku **adresowane są także i obecnie do biskupa Spletta i noszą napis „Danzig, Germany"** (podkreślenie nasze).

To się nazywa mieć „ojcowskie serce" dla Polski i Polaków. Cóż na to nasi biskupi-purpuraci? Czy zaprotestują przeciwko tym „ojcowskim" uczuciom papieża, czy też wciąż będą powtarzać lekcje papieskie z „Kordiana" Słowackiego: „...a niechaj wasz naród wygubi w sobie ogniów jakobińskich zaród, Niech się weźmie psałterza — i radeł — i sochy".

Bo takiemu „od psałterza i sochy" wszystko już jedno, czy „Danzig — Germany"...

zew

Tej wiosny...

Do
Redakcji tyg. „Wieś"

Pozwólcie wypowiedzieć się działaczowi terenowemu ne szczeblu gminnym w następującej sprawie: nadchodzi wiosna, wymiana między miastem i wsią bardzo się ożywi. Dobre drogi w znacznej mierze stanowią o przydatności pracy produkcyjnej naszego rolnika, warunkują w poważnym stopniu rozwój społeczno-kulturalnego życia wsi.

Przed samą wojną mieliśmy wszystkiego 16 km dróg o twardej nawierzchni na każde 100 km². długość dróg o nawierzchni ulepszonej (kostki, betony, asfalty, klinkiery) wynosiła 3 500 km, a więc zaledwie 6% całości. Olbrzymia, przeważająca ilość niewytrzymałych drewnianych mostów, brak mostów na wielu ważnych traktach — oto stan sprzed wojny.

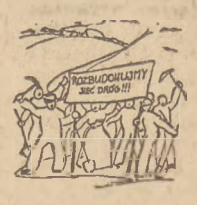

Obecnie jest pod pewnymi względami znacznie lepiej. Gęstość sieci dróg bitych wzrosła do 30,5 km na 100 km², również i powierzchnia dróg nowoczesnych znacznie się zwiększyła, stanowi dziś 23%, niemniej jednak mamy nadal olbrzymie braki i potrzeby. Drogi wymagają zarówno konserwacji, jak i odbudowy, szczególnie dziś — w nowym ustroju, który otworzył bramy chłopskiego getta. Po tych drogach kursują dziesiątki tysięcy samochodów i wozów. Nie możemy także wyobrazić sobie wymiany kulturalnej wsi i miasta bez szeroko rozbudowanej sieci dróg.

Nasz samorząd gminny posiada w swojej gospodarce 21.519 km. dróg gminnych, bitych i 147.904 km. dróg gruntowych. Wiadomo, że w latach 1945—1946 wyniki pracy, prowadzonej na tym odcinku przez gminy były znikome.

Tej wiosny, kiedy na wieś idą masy nawozów, kiedy prowadzimy masowy skup żywca w ramach akcji H, kiedy rozprowadzamy po terenie bydło zarodowe, nasiona elitarne, kiedy ożywiamy wymianę kulturalną z klasą robotniczą, sprawa dróg staje się szczególnie ważna. Czy poszczególne gminy mają już przygotowane plany i aparat ich realizacji dla odbudowy i rozbudowy dróg?

K. L.

Spółdzielnia ZSCh w Masłowicach

Gminna spółdzielnia ZSCh w Masłowicach powstała dopiero w 1948 r., ale w przeciągu tak krótkiego czasu swego istnienia — rozwinęła się nader pomyślnie. Posiada już dziś bowiem 747 członków, a liczba ich ciągle się powiększa. Utworzyła także już pięć filii spółdzielczych, a to w Strzelcach, Kraszewicach, Bąkowej Górze, Majkowicach i w Chełmie, a w roku 1949 powstaną jeszcze trzy filie: w Sokolej Górze, w Dębie i w Masłowicach. Spółdzielnia prowadzi także resztówkę majątku Bąkowej Góry.

Głównymi materiałami rozprowadzonymi przez spółdzielnię w Masłowicach są artykuły spożywcze, nawozy sztuczne, węgiel, materiały budowlane i pasze treściwe. Prowadzona jest także na wielką skalę sprzedaż gazet. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że spółdzielnia zaopatrzyła całkowicie cały teren gminy w materiały opałowe. Samego węgla sprowadzono i rozprzedano ponad 2300 q. Nie gorzej rozwija się także sprzedaż nawozów sztucznych. W ubiegłym sezonie zimowym rozprowadzono ich około 750 q. zaś do nadchodzącego sezonu przygotowano już 2.600 q. Z materiałów budowlanych najwięcej spółdzielnia sprzedaje cementu. Kilkaset q, które niedawno sprowadzono, zostało szybko rozkupione, zgłoszono więc jeszcze zapotrzebowanie na dalsze pięć wagonów cementu. Spółdzielnia rozwinęła też i to bardzo dobrze akcję skupu trzody chlewnej. Pracują w niej nie tylko członkowie Spółdzielni, ale i członkowie Milicji Obywatelskiej i Gminnej R.N. Toteż akcja ta — jak już zaznaczyłem — rozwija się bardzo dobrze. Na plac, na którym odbywa się skup, zjeżdżają w każdy wtorek dziesiątki wozów naładowanych prosiętami i cielętami. Okoliczni chłopi, przeważnie mało- i średniorolni — wiedzą, czym akcja ta jest dla nich i dlatego każdą sztukę przeznaczoną na sprzedaż prowadzą tylko na skup. Narzekają jednak na brak mięsa i oczywiście słusznie. Spółdzielnia bowiem dostaje na całą gminę tylko cztery sztuki świń, a na obszarze gminy oprócz kilku tysięcy chłopów — rolników, mieszka także dość pokaźna liczba robotników, którzy pracują w dwóch majątkach i w gorzelni. Należałoby więc, skoro spółdzielnia skupuje tylko w jednym dniu 70—100 sztuk świń i bydła, zwiększyć przydział mięsa dla ludu pracującego.

Powracając jeszcze do samej spółdzielni musimy dodać, że zarząd tej instytucji składający się z mało- i bezrolnych chłopów, członków P.Z.P.R. — ma na przyszłość śmiałe plany. Biorąc bowiem pod uwagę obroty spółdzielni sięgające miesięcznie do 4 milionów zł. — postanawia utworzyć jeszcze w tym roku ośrodek maszynowy i oczyszczalnię zboża. Przyjdzie mu to tym łatwiej, że maszyny do oczyszczania zbóż ma już zakupione.

Gustaw Tomala

Bliżej, bliżej żyć z chłopami i robotnikami

Do Redakcji tygodnika „Wieś".

Mała rewolucja artystyczna na papierze studentów ASP w Krakowie: Nałęckiego, Wajdy i Wróblewskiego, oraz wywody p. Stefana Gierowskiego wydają się burzą w szklance wody na łamach „Wsi".

Twórczość malarska w Polsce nie przeżyła żadnego wstrząsu, postępowanie zaś, sposób życia artystów malarzy nie przestaje być przedmiotem drwin dużej części prasy codziennej i tygodniowej.

Ani profesorowie, ani „asy" malarstwa, ani studenteria szkół plastycznych nie znają środowisk robotniczych, czy wiejskch.

Wolą, jak przed 50 laty, prowadzić biedne, smutne, ale fantazyjne życie „wagabundy" kawiarnianego, bo jest ono wygodne i błyskotliwe. A za modele wystarczy „martwa natura".

Nic dziwnego, że jeżdżąc wiele lat po wsiach, osadach rolniczych i fabrycznych, bądź miasteczkach, a nawet miastach powiatowych, nigdzie w mieszkaniach robotniczych czy chłopskich nie widziałem ani dobrych obrazów, ani dobrych oleodruków.

Panoszą się za to na ścianach ohydne obrazy i oleodruki często z niemieckimi nazwami.

Oto do czego prowadzi lenistwo twórcze, i chorobliwa fantazyjność, tak starego, jak i młodego pokolenia malarskiego w Polsce.

Grzegorz Ciepliński
działacz terenowy

W NUMERZE 14 (193) TYG. „WIEŚ"
z dnia 3 kwietnia 1949 r.

Dyzma Gałaj — Ludzie, którzy budują pokój; **Mieczysława Buczkówna** — wiersze; **Mirosław Ochocki** — wiersze; Nieznane listy Joachima Lelewela: **Marta Żmijewska** — Drobnomieszczańska deformacja socjalistycznej wiedzy o kulturze; **Konstanty Simonow** — Nieśmiertelne nazwisko. Tłum. T. Chróścielewski; **Edmund Niziurski** — „Węzły życia" — Zofii Nałkowskiej; **Krzysztof Slawiński** — Odchodzące „Chiny bez maski"; **Piotr Pigwa** — „Jak nigdy Polska nie rosła"; **Fritz Jensen** — Sto milionów chłopów chińskich; **Władysław Błachut** — Z dziejów nauczycielstwa polskiego; **K. Kawecki** — Z dziejów nauczycielstwa radzieckiego; **Czesław Zieliński** — List do „Wsi"; **Paulina Czyżowa** — „Twórczość"; **Piotr Chmura** — „Gromada"; **Józef Pogan** — Klin w głowach biedoty; Fakty i zdania; 24 ilustracje; 12 stron.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁOD2 VII—1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2.
D—025822